Ada Ofir[1]

Tak się zaczęło moje przyszłe życie

W 1905 roku w Rosji wybuchła rewolucja. Doprowadziły do niej – nędza, zacofanie i wieloletni ucisk narodów pozostających pod władzą carską. Klęska Rosji w wojnie z Japonią też miała tu duże znaczenie. W krajach pod zaborem rosyjskim, jak Polska, rewolucja budziła wielkie nadzieje.

W społeczeństwie żydowskim działało w tamtym czasie wiele partii politycznych, między innymi Bund, partia socjaldemokratyczna, założona w 1897 roku. Jej pełna nazwa, w tłumaczeniu na polski, brzmiała: Powszechny Żydowski Związek Robotniczy w Rosji, na Litwie i w Polsce.

Członkowie partii byli zorganizowani w małych, nielegalnych grupach. Oprócz pracy oświatowo-agitacyjnej wśród robotników i rzemieślników żydowskich, ćwiczyli się w używaniu broni – na wypadek pogromów, a także w celu zbrojnego wystąpienia przeciw caratowi wraz z polskimi organizacjami wolnościowymi. Rywka Rubel i Hersz Frajman – obydwoje osiemnastoletni – byli członkami grupy, która wprawiała się w strzelaniu na terenie wapienników na przedmieściu Częstochowy.

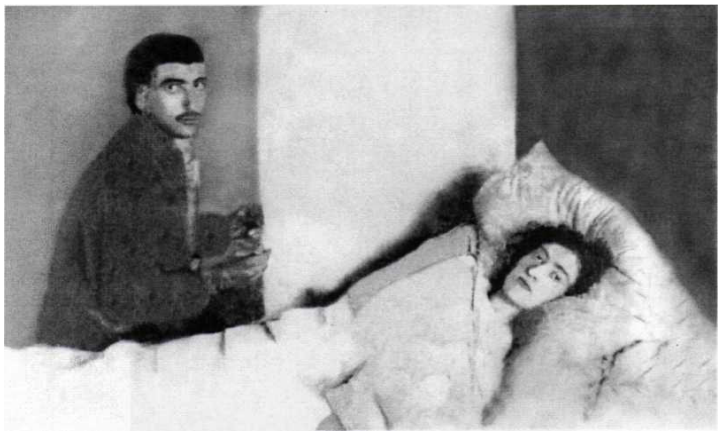

Rok 1905. Ojciec pielęgnuje Mamę, postrzeloną w wypadku z bronią.

Year 1905. My father cares about my mother, wounded in an accident with arms.

Kiedyś, w wolnej od zajęć chwili, jeden z towarzyszy zaczął bawić się bronią, kierując ją dla postrachu w stronę Hersza. Rywka, która zawsze miała poczucie obowiązku i odpowiedzialności, próbowała odebrać mu broń. W czasie szamotaniny rewolwer wypalił i przestrzelił jej lewe płuco. Po trzech dniach obudziła się w nieznanym pokoiku na facjatce. Obok niej siedział wąsaty młodzieniec – zwilżał jej wargi wodą i dziękował za uratowanie życia.

Przez trzy miesiące Hersz pielęgnował Rywkę, w warunkach pełnej konspiracji, do jej wyzdrowienia. I tak rozpoczęła się ich miłość, która trwała przez całe życie, aż do końca w styczniu 1943 roku. Miłość, która opromieniała życie nasze i całego naszego otoczenia. Miłość, która zmusiła mojego ojca, aby zakraść się do miejsca uwięzienia mojej

[1] Ada Ofir – aktualnie mieszka w Izraelu.

Ja w wieku półtora roku. Wysztafirowana według ówczesnej mody. Kunsztownie zawiązana kokarda była specjalnością mojej Mamy. W gimnazjum miałam taką kokardę z tyłu głowy. Mama lubiła pensjonarski image pozytywizmu

I am eighteen months old. Titivation according to contemporary fashion. Artfully tied bow my Mom was specialty. In high school I had such a bow at the back of the head. My mother

matki, schwytanej w łapance, by uciec z nią lub być z nią do końca, nawet za cenę własnego życia; miłość, która nie pozwoliła mojej matce żyć po jego śmierci.

Rodzice pobrali się z wybuchem wojny, w 1914 roku. W styczniu 1918 r. urodził się mój brat, Szmulek, a 7 lat po nim – ja.

W piątym roku życia posłano mnie do przedszkola Kinder Hajm, przy ulicy Krótkiej 23. Kinder Hajm, czyli Dom Dziecka, należał do sieci instytucji społeczno-oświatowych prowadzonych przez Bund, przeznaczonych dla biedniejszych warstw społeczności żydowskiej. Alternatywę stanowiło ekskluzywne, prywatne przedszkole żydowskie, ale moi rodzice, wrogowie snobizmu, uważali, że dziecko powinno zacząć wychowanie razem z biedniejszymi rówieśnikami, nawet, jeśli rodzina była w dobrej sytuacji materialnej. Stąd też brały się moje późniejsze wizyty, razem z ojcem, w polskich sierocińcach i w religijnych szkołach żydowskich. Ojciec reperował tam dachy i pokrywał je papą.

W Domu Dziecka, oprócz normalnych zajęć, jak w każdym przedszkolu, których to zajęć w ogóle nie pamiętam, był zwyczaj wspólnego drugiego śniadania, co pamiętam doskonale. Siedziało się przy okrągłych stołach, ośmioro, dziesięcioro dzieci, i każde dostawało kromkę chleba, posmarowaną masłem lub marmoladą, i – zmorę mojego dzieciństwa – kubek kakao na wodzie, zabielany mlekiem.

W domu, przed snem, mama zmuszała mnie do wypicia „pół szklanki" gorącego mleka. Dopiero, kiedy zaczęłam uczyć się ułamków, zrozumiałam, że przez lata byłam oszukiwana, że to, co wmuszano we mnie jako „pół szklanki", to było trzy czwarte szklanki.

Kakao na wodzie, w emaliowanym, czasem poobijanym kubku, wypijałam z samozaparciem, ale nawet w latach głodu w obozach nie tęskniłam do tego smaku.

W Domu Dziecka istniał też zwyczaj, że każde dziecko mogło przynieść ze sobą drugie śniadanie z domu, ale miało prawo je zjeść dopiero po zjedzeniu wspólnego posiłku razem z innymi dziećmi, i to przy osobnym stole. Bardzo demokratyczne posunięcie: Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek.

W ten sposób respektowano i postulat harmonijnego współistnienia wszystkich klas, i troskę żydowskiej matki, że dziecko umrze z głodu, jeśli nie zje swojej bułki z masłem, serem czy wędliną. Jedyny raz siedziałam przy tym stole, towarzysząc mojej kuzynce, która na jeden dzień przyszła do socjalistycznego przedszkola.

Kolejnym krokiem w cyklu wykształcenia było niemal automatyczne przejście do I klasy Szkoły Żydowskiej im. Pereca, która znajdowała się przy tej samej ulicy, pod numerem 19. Po roku, który tam spędziłam, pozostała mi znajomość alfabetu żydowskiego, co mi pomogło w nauce hebrajskiego w Izraelu, 25 lat później. Czytać po polsku umiałam już od piątego roku życia, dzięki pomocy dziecinnej gry, której nauczył mnie brat. W następnym roku zdałam z łatwością egzamin do drugiej klasy Szkoły Powszechnej przy ul. Wilsona.

Pamiętam częste odwiedziny towarzyszy (różnych szczebli) z Bundu, którzy starali się przekonać moich Rodziców, że postępują wbrew statutowi partii, wbrew postulatom autonomii kulturowej dla Żydów. Nie wsłuchiwałam się w wywody rodziców, ale czułam się dumna, że pozostali przy swoim zdaniu, i pochlebiało mi, że tylu ludzi ubiega się o mnie.

W III klasie odkryto moje zdolności recytatorskie i odtąd brałam udział we wszystkich szkolnych przedstawieniach. W gimnazjum, na zakończenie roku, recytowałam Norwida, nim jeszcze poznaliśmy go w szkolnej lekturze. W następnym roku na zakończenie wystawialiśmy Antygonę. Zostałam wybrana do roli Ismeny razem z Zosią Opatowską.

W szóstej klasie podstawówki zapadały ważne decyzje o przyszłym życiu uczniów. Trzeba było zadecydować, czy dziecko skończy szkołę powszechną przez przejście do siódmej klasy i otrzymanie świadectwa ukończenia szkoły, czy też przejdzie do gimnazjum, by kontynuować naukę. Dla wielu rodzin nie była to łatwa decyzja. Wysokie czesne, drogie pomoce naukowe, niejednokrotnie – w wielodzietnych rodzinach – konieczność pomocy finansowej ze strony dzieci, a nade wszystko wzrastający antysemityzm na uczelniach, stawiały pod znakiem zapytania celowość dalszej nauki.

W naszej rodzinie nie było zbyt wiele wątpliwości. Brat ukończył przede mną gimnazjum dra Axera. Moje dalsze losy zależały od opinii wychowawczyni, przemiłej panny Lusi Ajzykiewicz. Rodzice wrócili ze spotkania zadowoleni. Panna Ajzykiewicz nie wyrażała się w superlatywach o mojej systematyczności, porządku i przykładaniu się do nauki, ale stwierdziła, że byłoby wielką szkodą zaprzepaścić moje zdolności i inteligencję. Tak więc, kości zostały rzucone: zostałam zapisana, zdałam egzamin i zostałam przyjęta do I klasy prywatnego gimnazjum dra Filipa Axera, które mieściło się przy ulicy Focha 24.

Chciałabym móc więcej napisać o tej niezwykłej postaci byłego legionisty, rannego w 1920 roku i poruszającego się przy pomocy protezy. Prowadził swoją szkołę, propagując zasady humanizmu i uniwersalności. Przestrzegał nas przed wielkim niebezpieczeństwem, które ciągnie ze wschodu. W chórze, który sam prowadził, śpiewaliśmy utwory Beethovena i Marsyliankę.

Pech chciał, że właśnie w naszym gimnazjum władze odkryły komórkę komunistyczną, która obejmowała całą drugą licealną, przedmaturalną. Liczyła – wszystkiego osiem osób, bo ostatnie klasy w prywatnych gimnazjach były na ogół

nieliczne. Oczywiście nikt z nich nie został dopuszczony do matury. Odbyły się szybkie rozprawy sądowe i skazano ich na kary więzienia, mimo że byli niepełnoletni.

Jakakolwiek działalność polityczna na terenie naszego gimnazjum była surowo zakazana. Z wystąpień dyrektora znaliśmy jego stosunek do bolszewizmu. Dla nas, najmłodszych klas, był to szok. Czuliśmy, że coś groźnego zakrada się w nasze ustabilizowane, jako tako, życie. Dr Axer zwołał całą szkołę do jednej z największych klas i długo mówił o humanitaryzmie i liberalizmie, o rządach demokracji w Anglii, i wtedy to wypowiedział te prorocze słowa o niebezpieczeństwie ciągnącym do nas ze wschodu i jeszcze jedno zdanie: „Zobaczycie, moje dzieci, że do roku 1940 nie będzie śladu z tej wielkiej demokracji, którą ludzie zwą Republiką Francuską". Był to rok 1938. Dr Filip Axer zginął wraz ze swoją żoną, panią Klarą, jak kazała siebie nazywać. Zostali rozstrzelani z częstochowską inteligencją, w 1941 roku.

***

Wszystkie letnie wakacje spędzaliśmy w Chrząstowie, uroczej wiosczynie wśród rozległych sosnowych lasów, 45 kilometrów od Częstochowy. Tak też było tego ostatniego przedwojennego lata. Moi rodzice poznali tę wieś dwadzieścia siedem lat wcześniej, kiedy jeszcze jako narzeczeni – odwiedzali rodzinę ojca w odległym o 2 kilometry Koniecpolu.

Rok 1929, wakacje w Chrząstowie, w domu Marcjana, który eksportował do Francji raki rzeczne

Year 1929, Chrząstów village vacation, at home of Marcjana, which exported river crayfish to France.

Rok 1936, z Mamą w Chrząstowie, w domu Sobali

The year 1936, with Mom at Chrząstów village, at home of Sobala.

Rok 1929, wakacje w Chrząstowie. Z lewej strony ja, obok Babcia Frajman, obok niej kuzynostwo Hanka i Romek Częstochowscy i brat Szmulek. Siedzi moja kuzynka, Edzia Frajman.

Year 1929, Chrząstów village holidays. Standing from the left: me, next Grandma Frajman, her cousins, Hannah and Romek Częstochowscy, my brother Szmulek. My cousin, Edzia Frajman, sitting.

Lato 39 roku było gorące i piękne. Wszyscy letnicy rozjechali się już pod koniec sierpnia, a myśmy z mamą miały zostać przez sobotę, 2 września, aby ojciec mógł spędzić jeszcze jeden weekend na wsi. Planowałyśmy wrócić razem z nim na rozpoczęcie mojego roku szkolnego, na 3 września. W czasie, gdy mama powoli przygotowywała nas do wyjazdu, ja włóczyłam się po ulubionych miejscach, „żegnając się", jak co roku, do następnych wakacji.

Rok 1938 lub 1939. Ostatnie szczęśliwe wakacje z Rodzicami w Chrząstowie
1938 or 1939. Last happy holidays with my parents in Chrząstów-village.

Rano poszłyśmy z mamą do ogrodu pana Kempy, żeby zamówić owoce do przetworów na zimę. Potem spacerowałam po rozległych wrzosowiskach, szerokich traktach pomiędzy białymi ścianami brzóz, za którymi czerniły się gęste lasy, teraz, pod koniec sierpnia, pokryte gęstym, fioletowym kobiercem. Sponad wrzosów wyłaniały się olbrzymie kapelusze kozaków, które skwapliwie zbierałam do suszenia. Wylegiwałam się nad stawami w wysokiej trawie, wdychając oszałamiający zapach świeżej mięty.

Wieczorami siadywałyśmy z mamą przed domem i oganiając się od komarów i nietoperzy, upajałyśmy się zapachem maciejki. Tak, jakbym przeczuwała, że to ostatnie szczęśliwe wakacje w moim życiu.

Mieliśmy radio na baterie. Razem z gospodarzami słuchaliśmy gróźb i haseł Hitlera, i naszego odzewu: „Silni, zwarci, gotowi" i „Nie oddamy ani guzika". Któregoś z tych dni postanowiłam zostać sanitariuszką, na wypadek wojny. Mama nie odwodziła mnie od tej myśli i poszłyśmy do Koniecpola, żeby zapisać się na kurs. Tam, w gminie, powiedziano nam, że nie mają wytycznych z powiatu.

Podpisane w tym czasie porozumienie o nieagresji między Rosją a Niemcami – odwiecznymi wrogami Polski, wzmagało niepokoje.

W środę, 30 sierpnia, wyłoniła się nagle z lasu, od strony drogi, ciocia Ewa z dwojgiem dzieci i niewielkim bagażem, po zaledwie kilkudniowym pobycie w mieście. Jej mąż z moim ojcem – swoim bratem – uradzili, że powinniśmy zostać na wsi, dopóki sytuacja się nie wyklaruje.

Lokum cioci Ewy zostało już oddane gospodarzom, więc zamieszkaliśmy razem. Ciocia opowiadała, że w mieście panuje atmosfera podniecenia. Ogłoszono mobilizację, z głośników zainstalowanych na ulicach płyną pieśni sławiące Marszałka Rydza-Śmigłego, budynki obwieszono patriotycznymi hasłami, które głosiły między innymi, że Hitler musi odstąpić od swoich żądań terytorialnych, a Polska powinna dostać kolonie zamorskie.

Żydzi, którzy widzieli szeregi uciekinierów z Niemiec po „Nocy Kryształowej" nie byli zbyt optymistyczni.

Następnego dnia, w czwartek, poszłyśmy z Mamą i ciocią, które pamiętały I wojnę światową, do sklepiku pana Lasoty, zaopatrzyć się – na wypadek wojny – w cukier, mąkę, olej, sól, zapałki i świece. Był to dzień cotygodniowego targu. Z okolicznych wiosek ciągnęły do Koniecpola kobiety, obładowane masłem, serem, kurczakami, śmietaną i jajkami. Aby to sprzedać w miasteczku, szły boso, po pięć kilometrów w jedną stronę.

Piątek, 1 września, był cichy. Mieszkańcy Chrząstowa wstali o świcie do swoich codziennych prac. W czasie wakacji, odcięci od świata, nie oddalaliśmy się od domu – mieliśmy przecież radio na baterie i akumulator. Ale od tygodnia baterie były już na wyczerpaniu. Ojciec zabrał akumulator ze sobą, bo i tak mieliśmy wracać do miasta.

Około południa słyszeliśmy głuche odgłosy oddalonych strzałów. Mówiło się, że to ćwiczenia polskiego wojska. Pod wieczór zaczęły docierać wiadomości, że wojna już się rozpoczęła, ale kto wiedział naprawdę? Nie wiedzieliśmy, że wojna trwała już od

kilkunastu godzin, że gdziekolwiek stanął żołnierz niemiecki, była to już ziemia zdobyta, że Rząd Polski uciekł do Rumunii, pozostawiając podległych sobie oficerów i żołnierzy samym sobie, a mieszkańców Polski – na łasce Wermachtu. Byli już ranni, zabici, jeńcy, zbombardowane miasta, a my ciągle żyliśmy w dniu wczorajszym, w dniu przed wybuchem wojny.

W sobotę, wczesnym świtem, obudził nas dziwny hałas. Było jeszcze szarawo. Mgła leżała nisko nad ziemią. Wyjrzeliśmy przez okno, zobaczyć, co się stało. Z mgły wynurzały się stada rasowych koni, prowadzonych przez stajennych. Konie szły równo jak na defiladzie. Za końmi prowadzono setki krów. W tym momencie zrozumieliśmy, że wojna już jest. Właściciele dworu usuwali majątek ruchomy, byle dalej od frontu. Po jakimś czasie zaczęli uciekać chłopi. Na furmankach, pieszo, z krowami, kurami, dziećmi i z tobołkami z dobytkiem. Nie uciekli daleko. Zaszyli się chwilowo w okolicznych lasach, a pod wieczór Niemcy byli już we wsi i nie było, dokąd uciekać.

W niedzielę, około 6-tej rano, wyłoniła się z lasu grupka ludzi z tobołami na plecach. To nasza rodzina: Ojciec, mój brat Szmulek ze swoją dziewczyną Hanką, moją późniejszą bratową, jej młodsza siostra Róża, mój stryj Izydor, mąż cioci Ewy, i rodzina Rychter: pani Felicja i jej dwoje dzieci - Heniek i Hanka.

***

Zaprzyjaźniona z nami rodzina Rychterów była od wielu lat pod opieką naszych rodziców. Dawid Rychter, literat, ale też członek Komunistycznej Partii Polski, ukrywał się poza Częstochową przez większość lat wolnej Polski. Nie wyjechał do Moskwy po rozwiązaniu KPP, ale z wybuchem wojny uciekł do Rosji. Jak dowiedzieliśmy się z publikacji powojennej, został aresztowany w Białymstoku, osądzony, skazany na karę śmierci (przez kogo?) i powieszony za nogi.

Pani Felicja utrzymywała rodzinę jako manikiurzystka. Zajmowali jednopokojowe mieszkanko w domu, w którym my również mieszkaliśmy. Ich okno na parterze wychodziło na ulicę i było czasami celem antysemickich ataków. W 1936 roku, w czasie trwającego 10 dni pogromu, rodzina Rychterów mieszkała u nas. Pamiętam to ich mieszkanko, zawsze czyste i przygotowane na przyjście klientek, pełne estetycznych drobiazgów. Szczególnie utkwiły mi w głowie dwa oryginały Stryjeńskiej – zawsze przyciągały mój wzrok.

Zimą 39 roku rodzina Rychterów otrzymała wiadomość od Dawida, że znajduje się na polskich terenach okupowanych przez Związek Radziecki i prosi, żeby syn do niego przyjechał. Heniek przyszedł z matka, pożegnać się. Wszyscy życzyli mu powodzenia, a zwłaszcza: „żebyś został komisarzem", ale mój ojciec, dla którego bolszewizm był uosobieniem wszelkiego zła i nieprawości, życzył mu: „żebyś pozostał człowiekiem". Pamiętam jeszcze pełen aprobaty i satysfakcji uśmiech pani Felicji.

Heniek pojechał, ale wrócił po kilku miesiącach, kiedy przekonał się, że syn polskiego komunisty ma niewielkie szansę przeżycia w Związku Radzieckim. Po akcji wysiedleńczej w 42 roku wyszedł z getta wraz z grupą 6 chłopców, żeby połączyć się z jedną z grup partyzanckich. Ale jeszcze tego samego dnia, prawdopodobnie zadenuncjowani, zostali aresztowani i rozstrzelani.

***

Wracając jednak do grupy, która wyłoniła się z lasu w niedzielny poranek. Opuścili oni Częstochowę 1 września, wraz z tysiącami innych mieszkańców, pod ciężkim ostrzałem bombowców niemieckich. Chodzili nocą, w dzień ukrywając się w przydrożnych rowach lub między zaroślami, ostrzeliwani przez zniżające lot samoloty niemieckie.

Niemcy byli już w Chrząstowie, ale my byliśmy już razem. „Razem" – to słowo trzymało nas przez całą wojnę. Aby być „razem", zostałam w bunkrze w czasie wysiedlenia i nie chciałam przejść za wysoką opłatą do Mebel Lagru, gdzie znajdowali się ci, którzy już akcję przetrwali. Aby być razem, poszłam dobrowolnie do transportu, z którym zostali wysłani – już po śmierci naszych rodziców – mój brat z bratową. Aby być razem, mój ojciec starał się przekraść do transportu, kiedy złapali mamę. Kiedy transport został zwolniony, powiedział: „...być razem z nią i razem umrzeć, jeśli nie uda nam się uciec". Kiedy byłam jeszcze małym dzieckiem, słyszałam często rodziców, niby to żartujących, że każde z nich chciałoby umrzeć pierwsze, albo umrzeć razem. I to były słowa ostatniego listu mamy do mnie: „...musiałam być wierna Twojemu Ojcu...".

Więc byliśmy razem. Odgłosy strzałów armatnich stawały się coraz bliższe, po jakimś czasie dołączyły odgłosy strzałów karabinowych. Leżeliśmy na ziemi, na kocach i siennikach, żeby nie znaleźć się na linii strzału. Dołączyli do nas nasi gospodarze, rodzina Sobalów, matka i trzy córki, a ojciec i starszy syn, Stefan, zostali na strychu. Na kilka godzin wszystko umilkło. Nie działo się nic. Nagle na drodze pojawiły się samochody wojskowe, a na nich żołnierze niemieccy z wycelowanym w kierunku domostw karabinami.

Rzeczywistość uderzyła w nas: Niemcy w Polsce, przegraliśmy wojnę, ledwie się zaczęła. Siedzieliśmy skuleni, przygnębieni, nikt nic nie powiedział. Całe moje dotychczasowe życie legło w gruzach. Niemcy w Polsce. Moje 14-letnie, szczęśliwe dzieciństwo było już w innej epoce. Niemcy w Polsce. Stoję u progu nowego, dorosłego życia, nieznanego i strasznego. Pierwsze uzbrojone watahy przetoczyły się na północ, w kierunku wioski Michałów. Za nimi następne oddziały. Przed nocą rozbili obóz w lesie, w naszym sąsiedztwie. Jedli, pili, śmiali się. Z odległości kilkunastu metrów słyszeliśmy niezrozumiałą, nienawistną mowę. Niemcy w Polsce. Wszystkie nasze kłopoty narodowościowe, getto ławkowe, pikiety, bojówki przed sklepami żydowskimi, pogrom w 1936 roku, chuligańskie napady młodzieży endeckiej, hasła „Nie kupuj u żyda", strach

przed pójściem do takich kin jak Świt czy Atlantyk (te kina endecy uważali za swoją domenę i siadali za Żydami, żeby w ciemności rozciąć żyletką palto albo obciąć dziewczętom włosy) – wszystkie te sprawy zmalały nagle, stały się odległe, nieistotne wobec faktu, że NIEMCY W POLSCE.

Podczas krótkich godzin ciszy gospodarze nakarmili i wydoili krowy, zajęli się resztą trzody i drobiem. Życie ma swoje potrzeby, a tym bardziej żywi ludzie. Zaszła w końcu potrzeba skorzystania z ubikacji. Na wsi jest to wygódka, mały budyneczek z prostych desek, usytuowany w pewnej odległości od chaty. Późny wieczór, zupełne ciemności dookoła, a obok chaty w lesie niemieccy żołnierze, jedzący, pijący, śmiejący się. Oczywiście w tych warunkach rodzice nie pozwolili mi pójść samej. Poszedł ze mną tata. Czekał na zewnątrz, a ja przez szpary w deskach widziałam, jak podszedł do niego starszy żołnierz, chyba również starszy rangą, bo zupełnie trzeźwy, i rozpoczął z nim spokojną rozmowę po niemiecku. Kiedy wyszłam, oddalił się, ale czekał na uboczu, aż wróciliśmy do domu.

Jeszcze jedna migawka z poprzedniej nocy, która szczególnie utkwiła mi w pamięci: Już po przewaleniu się tłumu uciekających chłopów, a przed wkroczeniem Niemców, późną nocą, wydeptaną ścieżką w lesie szedł młody człowiek. Był sam. Parę butów, związanych sznurowadłami, miał przerzuconą przez ramię. Tak chodziły kobiety z okolicznych wsi w niedzielę na mszę – kilka kilometrów przez piaszczyste drogi i las, a buty wkładały przed samym wejściem do kościoła. Na drugim ramieniu człowiek ten trzymał uwiązany na kiju tobołek, a wolną ręką prowadził na postronku krowę-żywicielkę.

W Chrząstowie wybuchł pożar. Nie zauważyliśmy, w którym miejscu się rozpoczął. U wylotu drogi, tam gdzie były najstarsze zabudowania wsi, ujrzeliśmy nagle olbrzymie kłęby czarnego dymu. Było to daleko od nas, ale ogień szybko rozprzestrzeniał się w naszym kierunku. Drewniane chaty, zbudowane blisko siebie, najczęściej słomiane dachy, suchy i upalny sierpień, powodowały rozprzestrzenianie się ognia. Niemców już nie było w pobliżu, ale my ciągle siedzieliśmy w chacie, razem z gospodarzami, i przerażeni patrzyliśmy przez okna, jak ogień rozrasta się i zbliża do nas.

Rokrocznie wakacje spędzaliśmy w Chrząstowie. Znaliśmy wszystkich gospodarzy i wszyscy znali nas. Jako dziecko chodziłam z dziećmi gospodarzy, u których akurat mieszkaliśmy, na popołudniowy wypas krów. Zdumiona patrzyłam, jak dzieciaki poklepywały się po brzuchach, popijając kawę z cykorii zabielaną mlekiem, powtarzając przy tym: „dobre, słodkie, bo z sacharyną". To z nimi podkradałam kartofle do pieczenia i zbierałam skrzyp, żeby okupić się gęsiom, które zawsze wyczuwały we mnie obcą i szczypały w gołe łydki. To one nauczyły mnie, jak zbierać jagody, żeby nie straciły świeżego meszku i nie gniotły się, jak rozróżniać i ścinać grzyby.

Moje pierwsze wspomnienia z Chrząstowa sięgają wieku czterech lat, kiedy mówiłam: „kura się na mnie patrzy". Pamiętam też z tamtego czasu, jak dziadek Frajman zabierał mnie i mojego kuzyna, Romka, na ryby. Pamiętam go, wysoki, postawny

mężczyzna, jak wszyscy Frajmanowie, podwinięte nogawki spodni, w jednej ręce wędka, drugą prowadził Romka, starszego ode mnie o rok, który z kolei trzymał wiaderko na ryby. Ja kluczyłam za nimi. Zawsze coś mnie w drodze zatrzymywało, zawsze znalazłam coś, co trzeba było podnieść i z bliska obejrzeć. Ten zwyczaj został mi jeszcze do ostatniego przedwojennego lata, kiedy chodziliśmy na długie i dalekie spacery do okolicznych lasów. Zawsze coś mnie zatrzymywało, a kiedy wszyscy oddalili się bardzo, krzyczałam: „Poczekajcie na mnie!" i szybko podbiegałam do reszty. Kiedy byłam jeszcze mała, wołałam: „Poczekajta na mnie!". Ten okrzyk wywoływał zawsze uśmiech moich Rodziców, ale nigdy mnie nie poprawiali.

Nigdy i niczego nie bałam się w Chrząstowie – ani niezmierzonych lasów, po których włóczyłam się godzinami, ani spacerów wąskimi miedzami wśród zbóż. Raz, miałam wtedy chyba 6 lat i całe lato chodziłam boso i w krótkich majtkach kąpielowych, dwóch wyrostków napadło mnie znienacka, wysmagało pokrzywami i uciekło. Nie płakałam, pobiegłam do mamy, która zaczęła okładać mnie zsiadłym mlekiem, a ja fantazjowałam, jak się zemszczę, jeśli ich kiedyś dopadnę. Tymczasem chodziłam ubrana w podkoszulek.

I jeszcze jedna „frajda", dziwna jak na miejskie dziecko z robotniczej rodziny: razem z wiejskimi dziećmi pomagałam przy żniwach. Dzieci zbierały zboże spod sierpa. Wiązaliśmy je w snopki i ustawialiśmy w stogi. Jednej tylko rzeczy nie mogłam się nauczyć – chodzenia boso po ściernisku. W czasie zimowych miesięcy obiecywałam sobie, że jak dorosnę, pojadę kiedyś zimą do Chrząstowa, żeby zobaczyć, jak wygląda wieś pod śniegiem. Ale te plany, jak wiele innych, zniszczyli Niemcy. Zgładzili 6 000 000 członków mojego narodu.

Tymczasem siedzieliśmy zbici w gromadkę w ciasnej izbie i z przerażeniem patrzyliśmy na wciąż rosnącą łunę. W jej świetle widzieliśmy naszą gospodynię, panią Sobalową i słuchaliśmy jej głośnego lamentu. Wioska płonęła przez wiele godzin. W pewnej chwili, na rozstaju dróg, gdzie – za domem Kurpiosa, a przed domem Wójcika – był kawałek wolnej przestrzeni, ogień na pewien czas się zatrzymał, jak gdyby nagle zabrakło mu strawy. Pozostali we wsi ludzie uciekali przed postępującym ogniem, zabierając ze sobą, co tylko mogli. Niedojone krowy ryczały, kury rozbiegły się po lesie.

Rok 1939. Z kuzynką, przed starym mieszkaniem, przy Alei WOLNOŚCI 19. Z opaskami z gwiazdą Dawida. Ja z prawej strony zdjęcia

Year 1939. With my cousin, and the old dwelling, 19th Freedom Av. Armbands with the Star of David. I am on the right side of the image.

Patrzyłam, jak płonie czternaście lat moich pięknych, letnich wakacji. Przez wiele godzin żarzyły się jeszcze w nocy szczątki stu dwudziestu chałup, ale ogień już wygasł. Potem przewaliła się jeszcze przez wieś uzbrojona kolumna niemieckich żołnierzy i nasi gospodarze, Sobalowie, wrócili do codziennych zajęć, przygarniając jeszcze pod swój dach Nowaków.

Nowaków znaliśmy jako komorników, którzy pomieszkiwali kątem u jakichś gospodarzy, u których akurat pracowali sezonowo. Niedługo przed wojną udało im się postawić chałupę, dorobili się krowy i drobiu, ziemi chyba nie, bo dalej pracowali u bogatszych gospodarzy i we dworze. Lokując się u naszych gospodarzy, Nowakowa biadała: „Chałupa nam się spaliła, krowę mi Niemcy zabili, Hanka mi się spaliła...” (Hanka była jednym z bliźniaków, które urodziły się Nowakom trzy lata przed wojną).

Około 10 września postanowiliśmy wrócić do domu. Ojciec ze stryjem poszli do sąsiedniej wsi i wynajęli chłopa z koniem i furmanką. Załadowaliśmy nasz dobytek i z pierwszym brzaskiem wyruszyliśmy pieszo, 45 kilometrów do Częstochowy. Całą wieś stanowiły sterczące kominy wypalonych chat. Każdy komin nosił dla nas nazwisko gospodarza. W powietrzu unosił się ciężki swąd spalenizny. Staraliśmy się nie patrzeć na leżące po bokach drogi, wzdęte, rozkładające się trupy koni i krów. Godzina policyjna rozpoczynała się o 18.00 i ostatnie kilkaset metrów, od katedry przy ulicy Narutowicza, poprzez Aleje NMP, aż do domu przy Alei Wolności 19, przebiegliśmy. Gospodarz przenocował u nas, a koń, uwiązany na podwórku przy śmietniku, rżał żałośnie przez całą noc.

Miasto wyglądało zupełnie inaczej. Zawsze ożywione i pełne przechodniów było teraz puste. Nikt nie wychodził bez specjalnej potrzeby. Sklepy i szkoły były zamknięte. Z nastaniem zmroku należało zamykać okna i zasłaniać szyby czarnym papierem. W całym mieście brakowało podstawowych artykułów żywnościowych.

Chleb można było kupić w jedynej piekarni w naszej okolicy, przy ul. Sobieskiego. Wstawaliśmy o 4.30 rano i czekaliśmy do 5.00, kiedy to dozorca otwierał bramę. Młodzież z całego bloku brała na siebie ten obowiązek. Dorośli zbyt zwracali na siebie uwagę Niemców i chuliganów. Śródmieście Częstochowy było zamieszkane przez ludność mieszaną, polsko-żydowską i miejscowi endecy lepiej od Niemców rozpoznawali Żydów, mimo że ci ostatni nie odróżniali się strojem czy zachowaniem od Polaków. Z otwarciem bramy rozpoczynał się obłędny bieg do piekarni. Z wszystkich domów wysypywali się młodzi. Każdy starał się biec jak najszybciej. Kto mieszkał bliżej piekarni, już stał w kolejce. O 8.00 rozpoczynała się sprzedaż chleba. Jeśli zapas był wystarczająco duży i nie wyrzucono nas z kolejki, rozpoznając w nas Żydów, około dziesiątej wracaliśmy szczęśliwi i dumni, każdy z bochenkiem chleba w torbie.

Z czasem Niemcy zaczęli wydawać kartki żywnościowe, ale przyznane racje były minimalne. Wojna wybuchła zaraz po żniwach i zniszczyła większość zapasów, i to, co jeszcze nie zostało zebrane. Tak, że nawet, jeśli ktoś miał pieniądze to nie miał, czego

kupować. W pierwszych miesiącach wojny nasze pożywienie składało się z kartkowego chleba z margaryną lub marmoladą, zrobioną z buraków, i z herbaty ersatzowej bez cukru. Mięso można było kupić tylko u chłopów, w okolicznych wsiach. W mieście cały zapas został już spożyty.

Po wielu naradach, rozpytywaniu się i zasięganiu informacji, moja mama postanowiła, że pojedzie wraz z kuzynką na wieś, kupić trochę żywności na zimę. Tylko kobiety miały szansę uśpić czujność Niemców w tego rodzaju przedsięwzięciach. Wyprawa musiała trwać kilka dni, ze względu na godzinę policyjną. Odbywała się przygodnymi furmankami, z nocowaniem u nieznajomych Żydów, którzy mieszkali jeszcze w okolicznych miasteczkach i chętnie udzielali gościny. Mama z kuzynką wróciły z zapasem żywności. Przy kontrolnych posterunkach niemieckich chłop oświadczał, że wiezie chore na tyfus kobiety do szpitala. Była to choroba, której Niemcy bali się panicznie, więc nie sprawdzali ładunku ani ludzi.

Rozpoczął się surowy reżym przetrwania, ale bez głodu. Trzy podstawowe posiłki dziennie, pożywne i sycące. Odpadły drugie śniadania i podwieczorki. Surówki i owoce, wcześniej bardzo częste w naszym domu, zostały zastąpione przez marchewkę, buraki, kapustę i brukiew. To wszystko można było dostać pokątnie. Sobotnie ciasto piekło się z marchwi lub ziemniaków na proszku jajecznym, słodzone sacharyną.

Powoli życie zaczęło wchodzić w normalne tryby okupacyjne. Godzina policyjna obowiązywała przez cały okres wojny. Zostały otwarte szkoły, ale nie dla Żydów. Kina zaczęły wyświetlać filmy, oczywiście tylko niemieckie, ale Żydom wstęp był wzbroniony. Niemcy wydali rozporządzenie oddania władzom wszystkich radioodbiorników. Za posiadanie radia groziła kara śmierci. Mieliśmy w domu dwa. Jedno z nich ojciec przekazał władzom, a drugie, pozbawione drewnianej obudowy, ulokował na strychu i w nocy nasłuchiwał wiadomości nadawanych z zagranicy.

W grudniu 1939 roku wyszło rozporządzenie w sprawie noszenia opaski z gwiazdą Dawida. Opaska miała być biała, 10-centymetrowa, a gwiazda Dawida – niebieska. Musiała być noszona na lewym ramieniu. Za nie noszenie opaski groziła kara śmierci.

Na początku 1941 roku Niemcy wydali kolejne rozporządzenie – o utworzeniu getta dla Żydów. Mieliśmy się do niego przeprowadzić do końca kwietnia tegoż roku. Granice getta zostały ściśle określone. Rodzina Chorzewskich, rodziców mojej bratowej, mieszkała przy ulicy Stary Rynek 24, w obrębie przyszłego getta. W ich budynku opróżnił się magazyn skór, który należał do Polaka. Polacy musieli opuścić teren przyszłego getta. Pomieszczenie, usytuowane na parterze, w podwórzu, było bardzo obszerne i dawało się zagospodarować, ale już przestało wystarczać dla naszej rodziny. Co prawda brat z bratową mieszkali osobno, ale w grudniu 39 roku zmarł mój stryj i rodzice czuli się powołani do opieki nad ciocią Ewą i jej dwojgiem dzieci, 13-letnią Edzią i 6-letnim Wowkiem. Mieszkaliśmy w tym samym domu, piętro nad nimi, i było nie do pomyślenia, aby w getcie pozostawić ich samym sobie.

Teren przeznaczony na getto był zawsze zamieszkiwany przez ubogą ludność żydowską, więc dla Żydów, którzy musieli przejść do getta, pozostało niewiele mieszkań. Ale sytuacja finansowa była bardzo ciężka i ci, którzy inaczej nie dawali sobie rady, odnajmowali jeden z dwóch pokoi, które mieli. W ten sposób weszliśmy w posiadanie jeszcze jednego pokoju. Znajdował się on, co prawda, w tym samym domu, ale nie był połączony z pomieszczeniem, które wcześniej służyło jako magazyn. Ten pokój, bardzo mały zresztą, służył jako sypialnia moich rodziców i cioci Ewy z Wowkiem. W dawnym magazynie spałam ja i Edzia. Poza tym służył on jako kuchnia, jadalnia, umywalnia i „salon", bo tam rodzina spędzała wieczory po godzinie policyjnej.

Poza mieszkaniami frontowymi budynek nie miał elektryczności. W „rodzinnym" pokoju paliliśmy karbidówkę, przy której można było czytać i widzieć się nawzajem, w niniejszym używano lampy naftowej. Ogólna ubikacja była w podwórzu, ale my, dzieci, korzystaliśmy z ubikacji państwa Chorzewskich.

Przed przejściem do getta ojciec ukrył wszystkie wartościowe przedmioty na strychu. Obrazy, ubezpieczone na wysoką sumę, oddał na przechowanie panu Seifertowi – Polakowi niemieckiego pochodzenia (a może tylko o niemieckim nazwisku). Do getta zabraliśmy dwumetrowy portret mojej mamy, ofiarowany przez malarza, Pawła Willenberga, jako dowód uznania za jej działalność przeciwko caratowi, i portret idola moich rodziców, Lwa Tołstoja. Obydwa obrazy, wyjęte z ram i zwinięte w rulon, zostały ulokowane na strychu.

Po wojnie pan Seifert (al. Wolności 9 lub 11) oddał mnie i bratu dwa obrazy tegoż malarza, w oryginalnych ramach. Pokazał nam pokwitowanie, którego zażądał od Niemców za resztę zabranych dzieł sztuki, abyśmy mogli wnieść skargę. W ogóle o tym nie myśleliśmy. Cieszyliśmy się, że każde z nas ma przynajmniej jedną pamiątkę z domu.

***

Lato to okres pracy mojego ojca. Niezależnie od wojny, właściciele domów musieli naprawiać przeciekające dachy. Przed wojną nie wszystkie mieszkania miały zainstalowane łazienki i w tym czasie mój ojciec produkował w swoim warsztacie wanny i wanienki dla niemowląt. Wanny były ogrzewane specjalnie wbudowanym piecykiem na węgiel, podłączonym do wylotu kominowego w kuchni. Ojciec wychodził z getta do pracy, do polskiej dzielnicy, bocznymi przejściami. W roboczym ubraniu, ze skrzynką narzędzi na ramieniu, zwojem papy pod pachą i w kaszkiecie nasuniętym na oczy, uchodził uwadze Niemców i szmalcowników.

W okresie, kiedy ojciec miał więcej pracy, wzrastała też liczba stołowników. Prowadziliśmy wspólne gospodarstwo z ciocią Ewą, która była niezależna finansowo, ale w każdą sobotę liczba stołowników wzrastała do 16 lub 20 osób. Dalsi członkowie rodziny, zwłaszcza dzieci i starcy, byli stałymi gośćmi na obiadach.

Do getta w Częstochowie zostali też przesiedleni mieszkańcy okolicznych miasteczek. Jak we wszystkich gettach panował tam niedostatek i często głód. Dawanie jałmużny nie na wiele się zdawało. Czarny rynek, drożyzna, brak pracy, uniemożliwiały normalną egzystencję wielu rodzin, zwłaszcza przybyłych spoza Częstochowy.

Powoli wykrystalizował się w głowach moich rodziców projekt akcji dobroczynnej. Wydawanie sobotnich obiadów – oczywiście bezpłatnie. Od pana Pudło, właściciela masarni, starego klienta i przyjaciela Ojca, kupowało się mięso, co prawda nie koszerne, ale po dostępnej cenie. W czwartek, w kotle do gotowania bielizny, gotowało się kapustę i ziemniaki w mundurkach, które przez piątek obierała cała rodzina, łącznie z dziećmi. W sobotę rano łączyło się wszystko razem.

Wieść, że na Starym Rynku pod 24 wydaje się bezpłatnie gorący posiłek, obiegła getto i pierwsza próba 50 obiadów szybko okazała się niewystarczająca. Liczba wydawanych obiadów wzrosła wkrótce do 150. Wszyscy, nawet my, młodzi, braliśmy udział w przygotowaniach i wydawaniu posiłku.

Wielkie wrażenie wywarła na mnie rozmowa mojego ojca z przełożonym jeszybotu, który przyszedł podziękować i prosić o kilka porcji dla chorych uczniów, którzy nie mogli sami przyjść. Ojciec odpowiedział, że oczywiście, ale poczuwa się do obowiązku poinformowania rabina, że obiad jest gotowany na nie-koszernym mięsie. Na to usłyszeliśmy odpowiedź: „...jeśli Najwyższemu miłym jest fakt, że moi uczniowie muszą prosić o sobotni gorący posiłek u ciebie, to musi mu również być miłe, że ten posiłek jest nie-koszerny". Ten zwyczaj sobotnich posiłków trwał do Sądnego Dnia 1942 roku.

23 DNI...

Z zakończeniem Sądnego Dnia, 22 września 1942 roku, na krótko przed godziną policyjną, ojciec wrócił z miasta i powiedział, że getto jest otoczone przez żandarmów niemieckich i Ukraińców.

Wiedzieliśmy, że to zapowiedź akcji wysiedleńczych. Poszliśmy spać prawie ubrani, aby nie tracić czasu, kiedy żydowska policja przyjdzie nas zawiadomić o konieczności stawienia się na miejscu zbiórki z podręcznym bagażem. Nasza rodzina była przygotowana, by nie pójść na miejsce selekcji. Planowaliśmy zejść do bunkra, który przygotował mój ojciec.

Do bunkra mieli zejść ludzie starsi (po 35 roku życia), dzieci i każdy, kto nie zechce się stawić do akcji. Bunkier ten był jak naturalny długi tunel wykuty w kamieniu. Kończył się pod centrum Starego Rynku. Niewielkie pomieszczenia boczne służyły mieszkańcom domu jako magazyny na węgiel, kartofle itp. Właściwy schron stanowiły trzy ostatnie pomieszczenia przypominające groty. Pomieszczenia te nie były używane przez lokatorów jako piwnice ze względu na panującą w nich wilgoć. Udało się dobrze zamaskować schron dzięki małemu, niskiemu pomieszczeniu, które mój ojciec zarzucił różnymi deskami,

częściami mebli. Znajdowało się ono za drzwiami z desek, zamkniętymi od zewnątrz na kłódkę, tak, że od środka nie było żadnej możliwości wydostania się.

Dla siebie ojciec przygotował schron na strychu. Mógł stamtąd obserwować, co się dzieje na zewnątrz i oczywiście czuwać nad nami, zamkniętymi w piwnicy. Tego wieczoru, przed zaśnięciem, znieśliśmy do bunkra tobołki z pościelą, ubraniami i żywnością na jakiś czas. Spaliśmy, trzymając pod ręką małe zawiniątko z osobistymi rzeczami.

Tej krótkiej nocy była dosłownie plaga pluskiew, które gnieździły się na ogół w starych budynkach małego getta i z którymi walczyliśmy uporczywie za pomocą ukropu i nafty. Tej nocy cięły niemiłosiernie, jakby przeczuwały, że wkrótce nie będzie dla nich pokarmu ludzkiej krwi.

Około 4 nad ranem usłyszeliśmy lekkie stukanie do drzwi. Zerwaliśmy się szybko, ale to była moja stryjeczna siostra, Hanka Częstochowska z dwuletnim synkiem, Łuckiem, i mężem, Adamem Rotaubem, który przed wojną pracował w Gnaszynie. Na Targowej, gdzie mieszkali, rozpoczęła się akcja.

Zeszliśmy do bunkra bez obuwia, aby nie zwracać uwagi Niemców szuraniem. Ojciec obudził rodzinę Chorzewskich, żeby nie byli zaskoczeni najściem policji żydowskiej i Niemców. I tak zeszliśmy wszyscy do schronu. Ojciec i Szmulik zarzucili wejście drewnem i gratami, i zamknęli drzwi na kłódkę. Sami ulokowali się na strychu w oficynie, skąd mogli obserwować ulicę Garncarską i Spadek.

Było nas razem 40 osób w wieku od 2 do 70 lat, ściśniętych między tobołkami w absolutnej ciemności. Po 2 godzinach małe dzieci zaczęły płakać i nie było sposobu, aby je uspokoić. Zapaliliśmy dwie świece. To uspokoiło dzieci, ale na krótko. Lucek dostał ataku histerii i po jakimś czasie zasnął z wyczerpania. Wkrótce świece zaczęły przygasać i zrozumieliśmy, że zapas powietrza się wyczerpuje. Atmosfera była na granicy paniki. Dzieci płakały, teraz już po cichu. Starzy ludzie modlili się głośno, inni wzdychali. Moja najbliższa rodzina, ciocia i kuzynostwo, była od dawna przygotowana na to, że w czasie akcji zejdziemy do schronu, i potrafiła zachować zimną krew. Staraliśmy się nie poruszać bez potrzeby, nie oddychać głęboko, nie rozmawiać, aby na jak najdłużej zachować zapas powietrza i siły.

Ojciec uwolnił nas około południa. Ulice, na których odbywała się akcja, pozostały opustoszałe. U ich wylotu stały straże.

Było już wiadomo, że Niemcy robią akcję na kilku ulicach i nie musimy schodzić do bunkra, dopóki Stary Rynek nie znajdzie się wśród ulic wyznaczonych do akcji. Akcje odbywały się z kilkudniowymi przerwami, aby Niemcy mogli rozwiązać problem z pociągami, ale przez cały czas getto było otoczone. W obrębie pozostałych ulic można było się poruszać. Mój ojciec wykorzystał okres przerwy, aby poprawić dostęp powietrza. Umieścił też kubły z pokrywami, które miały służyć jako toaleta. W kącie ostatniego

pomieszczenia był czynny kran z bieżącą wodą – część rurociągu, który dostarczał wodę do budynku. Obok był pojemnik z lizolem.

W czasie drugiej akcji (kilka dni później) zostaliśmy w mieszkaniu. Wiedzieliśmy, ze jeszcze nie nadeszła nasza kolej. Mój brat, Szmulek (pracował wówczas w Mebel Lagrze, który był uważany za ważną dla Niemców placówkę), przyszedł z wiadomością, że policja żydowska przeprowadza za słoną opłatą młodych ludzi z ulic, gdzie nie odbyła się jeszcze akcja do Mebel Lagru. Tam też koszarowali Niemcy pozostałych po akcjach. Z całej rodziny tylko ja i moja kuzynka Edzia odpowiadałyśmy warunkom. Miałyśmy po 17-18 lat.

Decyzja była bardzo ciężka i nie wiedzieliśmy, kto właściwie miał ją podjąć. Ci, którzy przeszli akcję, dalej nie byli pewni swego losu, bo z Mebel Lagru nadal wysyłano transporty. Ale bunkier też nie dawał stuprocentowej gwarancji przetrwania. Mogli nas odkryć przypadkiem, szukając towarów. Mogli, wysadzić w powietrze opustoszałe getto. Mogliśmy zostać bez powietrza lub umrzeć z głodu, gdyby ojcu coś się stało. Siedzieliśmy razem, pogrążeni w rozterce. Nikt z nas nie wiedział, co wybrać. Był czwartek. Po dwóch akcjach wiedzieliśmy, że nazajutrz przyjdzie nasza kolej. Mój brat czekał na naszą decyzję, aby powiadomić łącznika, który miałby mnie i kuzynkę wyprowadzić z getta.

Ojciec ujął swoją głowę w ręce i pogrążył się w myślach. Mama i ciocia Ewa były zmartwiałe z rozpaczy. Moi rodzice, którzy byli dla nas opieką i ostoją, a dla wielu innych oparciem i pomocą, którzy w 1905 roku byli czynni w Bundzie, brali udział w strajkach organizowanych przez PPS, kolportowali ulotki anty-carskie – teraz nie wiedzieli, jaką drogę wybrać dla swojego dziecka. Nie mogłam patrzeć na nich w takim stanie i to ja zdecydowałam za siebie i za Edzię. Zostaję, co stanie się ze wszystkimi, stanie się i ze mną? Wszyscy odczuliśmy ulgę. Zostajemy razem i co ma być, to będzie.

Od soboty prawie nie spaliśmy. Żyliśmy w oczekiwaniu walenia w drzwi i wrzasków „RAUS!". W ciągu dnia robiliśmy cokolwiek, aby mieć zajęcie i być razem ze sobą. Pomiędzy pierwszą a trzecią akcją, która miała objąć Stary Rynek, wiele z czterdziestu osób, które były z nami pierwszego dnia, postanowiło stawić się na akcji i zaufać losowi. Szansę u Degenharta (komendanta getta) i w bunkrze były równe. Tylko dzieci i „starcy" powyżej 35 roku życia nie mieli u niego szans. Ale w bunkrze panował niesamowity ścisk i w każdej chwili mogliśmy zostać odkryci. W zasadzie Niemcy nie dawali szans żadnemu z nas.

Między tymi, którzy nie chcieli zejść do bunkra, była moja kuzynka Hanka. Moi rodzice nie mogli się z tym pogodzić. To oni sprowadzili ją z głodującej Warszawy, wynajęli mieszkanie na Targowej, opłacając jej i jej mężowi komorne. Stołowali się u nas, a Lucek, ich dwuletni synek, właściwie się u nas wychowywał. Moja mama doglądała go przez cały dzień, bo wszyscy z naszego otoczenia uważali, że 22-letnia Hanka nie dojrzała do samodzielnego wychowania dziecka w czasie wojny. Mój ojciec twierdził, że to on zastępuje jej matkę, która żyła w Paryżu i że Hanka powinna zostać z rodziną. Hanka

twierdziła, że Lucek nie wytrzyma zamknięcia, że jest zbyt mały, by zrozumieć, że nie wolno mu płakać, nawet, jeśli się boi, i może wydać nas wszystkich. Mój ojciec starał się przekonać ją, mówiąc: w razie niebezpieczeństwa nakryjesz go poduszką. Hanka na to, że wie, że ojciec chce ją przekonać za wszelką cenę, ale ona nie jest gotowa w tym celu zabić swojego dziecka. I tak poszła z nim i z mężem do akcji. Udowodniła swoją dojrzałość.

W godzinach popołudniowych zaczęły się przygotowania tych, którzy mieli zejść do bunkra i tych, którzy musieli wyjść do akcji. Ostatnie przygotowania w domu, do którego nikt z nas nie miał wrócić.

Lucek zasnął na moim łóżku i mój ojciec siedział przy nim przez dłuższy czas. Nikt nie przeszkadzał mu w tym pożegnaniu. Opowiadał nam później, że opłakiwał synka Hanki, jak własne dziecko – w imieniu swoim i swojej nieobecnej siostry.

Mieliśmy zejść do bunkra zanim pojawi się żydowska policja z poleceniem zgłoszenia się do akcji o określonej godzinie. Obawialiśmy się, że nieobecność pewnych ludzi na placu wzbudzi podejrzenia policji i mogą przyjść szukać tych, którzy się ukryli. Policja żydowska robiła takie rzeczy, aby zapewnić byt sobie i swoim bliskim.

W mieszkaniu zostali tylko ci, którzy mieli pójść do akcji. Z rodziny Hanki Chorzewskiej poszli: jej ojciec Emanuel, ciotka Róża i jej młodsza siostra, Różyczka. Wszyscy zginęli. Jej matka, Matylda, z powodu niesprawnej nogi została z nami w bunkrze. Została też Hanka.

Zaczęły się pożegnania. Podeszłam do ojca jako ostatnia. Objęliśmy się i oboje wybuchliśmy płaczem. Ojciec powiedział: „Bądź szczęśliwa" – przez chwilę pomyślałam, że to pożegnanie i wzdrygnęłam się, ale on dokończył, „...że masz się gdzie schować". Myślał może, że się bałam, ale nie bałam się o siebie. Bałam się o niego, o mamę i o wszystkich dookoła.

Schodziłam do bunkra jakby nieobecna. Nic nie pamiętam. Zmęczenie i depresja wzięły górę. Wiedziałam tylko, że zostały dokonane wszystkie potrzebne czynności: zamaskowano wejście częściami mebli i zamknięto drzwi na kłódkę.

Obudziłam się w sobotę rano. Dookoła cisza i zupełna ciemność. Nie słyszeliśmy już kroków nad naszymi głowami. W 24 godziny po akcji nasza część getta wymarła. Każdy z nas milczy, drzemie albo udaje, że drzemie. Jedyny głos w ciemności, to głos dziadka mojej bratowej, odmawiającego sobotnie modlitwy.

Zapaliliśmy jedną świecę. Mały płomyk rozpalił w nas odrobinę nadziei. Zaczęliśmy śnić na jawie, jak będzie wyglądało nasze uratowanie. Tak minął dzień. Dwa razy posiłek i woda. I znów noc. Orientujemy się, że to noc, po potrzebie spania. Nie można zapalać świecy niepotrzebnie, żeby zobaczyć, która godzina.

Śpimy dobrze, żadne dźwięki ani głosy nie przeszkadzają. Od czasu do czasu słyszymy samochód przejeżdżający nad naszymi głowami i regularne kroki patrolu. Niemcy wchodzą do opustoszałych domów i szukają ukrywających się. Później, w drugim

schronie, widzieliśmy, jak wyciągali z niektórych mieszkań Żydów i zabijali ich na miejscu.

Około północy obudziły nas szmery i szuranie. Przez szpary widzieliśmy słabe światełko, pełzające po mokrych ścianach i słyszeliśmy, że ktoś odsuwa części mebli i drewno. W słabym świetle widziałam oczy mojej mamy, wpatrzone we mnie z bólem. Widok jej twarzy rozdzierał mi serce. Znaleźli nas? To już koniec? Nagle myśl! Niemcy i Ukraińcy nie robiliby tego tak ostrożnie i z uwagą. A więc to tatuś.

Przecisnęłam się przez leżących i toboły w kierunku zewnętrznych drzwi i widziałam go poprzez szpary. W jednej ręce trzymał zapaloną świecę, a drugą przesuwał na bok tarasujące części mebli, pamiętając, by ustawić je za sobą na miejsce, starając się robić jak najmniej hałasu. Za chwilę był już z nami, pokryty kurzem i piachem ze strychu, na którym się ukrywał. Próbował dodać nam otuchy. Mówił, że musimy być przygotowani na pozostanie w bunkrze przynajmniej przez dwanaście dni. Na koniec okazał swoje zwykłe poczucie humoru pytając, czy aby mamy apetyt. Wrócił do swojego schowka na strychu w oficynie, gdzie siedział lub leżał przez cały dzień (miejsce to miało wysokość siedzącego człowieka).

W nocy przechodził dachami do mieszkań, gdzie była stała elektryczność i gotował jedzenie dla siebie i dla nas. Nie wszystkie mieszkania na Starym Rynku były zaopatrzone w elektryczność. Mieszkanie, w którym my przebywaliśmy, oświetlało się lampą naftową i karbidówką. Gotowanie na palniku mogło go zdradzić, więc szukał mieszkań, gdzie były płyty elektryczne. Cały zabieg gotowania odbywał się przy świetle księżyca i świetle dochodzącym z ulicy.

Na rozkaz Niemców, policja żydowska mówiła wychodzącym do akcji, żeby nie zamykali mieszkań. Miało to na celu ułatwienie grabieży.

Dni i noce upływały na nasłuchiwaniu. Czy za chwilę nie usłyszymy walenia kolbami w ścianę obok w pustej piwnicy? A może nie, może będą to okrzyki radości i uwolnienie.

W ciągu dnia zapalaliśmy jedną świecę na obydwa pomieszczenia. Odpędzaliśmy ciemność, aby widzieć twarze naszych bliskich i kamienie ścian, po których wilgoć spływała kroplami. Czwartego dnia naszego uwięzienia, w czwartek, usłyszeliśmy nagle nad naszymi głowami kroki żołnierzy. Przechodzą przez bramę wejściową i cisza. Po kilku minutach znów kroki, teraz liczniejsze, i nagle strzały, i znów cisza. Obawialiśmy się najgorszego. Może ojciec nie był dość ostrożny? Może nie zdążył się ukryć?

Widocznie zemdlałam, bo wróciłam do przytomności pod dotknięciem mokrego ręcznika na piersiach i kropel wody na twarzy. Mama rozcierała moje skostniałe dłonie, obejmowała mnie i płakała. Wstydziłam się mojej starej słabości – mdlenia w chwilach wielkiego napięcia. Zamiast podtrzymywać na duchu mamę, załamuję ją i odbieram innym resztki nadziei. Przecież każdy z nas boi się tego samego...

Do następnej nocy siedzieliśmy w milczeniu. Wreszcie usłyszeliśmy trzykrotne, tak upragnione pukanie do drzwi, umówiony znak, że to ojciec przychodzi. Z trudem hamowaliśmy płacz radości. Okazało się, że na najwyższym piętrze ukrywali się jacyś ludzie. Niemcy znaleźli ich i zastrzelili na ulicy.

Znów mijają dni i noce. Zapas świec maleje. Światło jest nam niezbędne jak pokarm. Przy blasku świecy można rozmawiać. Kiedy świeca gaśnie, zapada milczenie. Milczenie, absolutne jak ciemność, dzwoni w uszach. Słyszymy tylko oddechy i bicie serc, nie tylko naszych.

Ściany z wolna schną. To my je osuszamy naszymi oddechami i ciepłem naszych ciał. Ale wilgoć wchodzi w nasze płuca, ubrania i jedzenie. Nasze ubrania wydzielają zapach stęchlizny, chleb obrasta pleśnią.

Z godziny na godzinę wzmaga się zduszony kaszel. Kostki u nóg puchną. Przez kości przechodzi ostry ból. Świece palą się coraz słabiej. Na razie nie brak powietrza, ale staje się ono coraz duszniejsze, napełnia się naszymi oddechami, potem odorem odchodów siedemnastu osób. Pomimo, że w czasie każdej wizyty ojciec zamienia nam kubeł na czysty. Próbowaliśmy odświeżyć powietrze poruszaniem wilgotnych prześcieradeł i ręczników.

Porcje żywności są coraz mniejsze. Teraz jemy raz dziennie. Dzienna porcja: jedna kromka spleśniałego chleba, posmarowana zjełczałym masłem, łyżeczka powideł i kostka cukru. Na szczęście mamy bieżącą wodę. Pijemy bez ograniczenia. Myjemy twarze i ręce. Robimy chłodne okłady na czoło i piersi. Umyć się nie mamy już siły. Poza tym szum bieżącej wody można było usłyszeć na górze. Każde poruszenie wywoływało zawroty głowy i „ciemność w oczach".

W nocy, we śnie, widziałam wyraźnie półki pełne chleba, świeże, złociste bochenki. Raz przyśnił mi się talerz pełen gotowanej kapusty. Widziałam wyraźnie kawałki pomidorów i parę unoszącą się znad talerza. Pociągnęłam nosem, ale to był tylko sen.

Jedyne żywe istoty, które miały się dobrze, to pchły. W pierwszych dniach były małe, szybkie, ruchliwe. Cięły i uciekały natychmiast. Teraz były ociężałe, opite naszą krwią. Łatwiej było je schwytać, ale było ich więcej i były bardziej dokuczliwe.

Wyczerpaliśmy już wszystkie możliwe tematy. Z naszych rozmów można by napisać kilka książek kucharskich.

W ciemności słyszałam rozmowę dwóch dziewczynek. Ta bardziej dorosła mówiła: „tak chciałabym już wyjść stąd, zobaczyć niebo i ptaki", a młodsza: „nie zawracaj głowy, ja wolę porządną pajdę chleba".

Sześcioletni chłopczyk pytał codziennie: „Kiedy przyjdzie znów pan Frajman?". Chodziło o mojego ojca, który z każdą wizytą przynosił jedzenie.

Mama zauważyła, że druga rodzina nie zaopatrzyła się w wystarczającą ilość żywności, i zaczęła dzielić jedzenie równo między wszystkich. Kiedy podała dziadkowi

Hanki, mojej bratowej, kromkę chleba z masłem i serem, nie przyjął jej, mówiąc że nie ma pewności, czy masło i ser są koszerne.

Był to siódmy dzień głodu. Zapas chleba zmniejszał się. Kiedy skończy się, przyjdzie kolej na fasolę, która już zalatywała kwaśnym zapachem. Od dwóch dni jedliśmy zapleśniały chleb. Widziałam, jak mama, dzieląc porcje jedzenia, zostawia sobie najmniejszą. Wszyscy zjedli z apetytem, ale ja nie mogłam przełknąć mojej porcji. Oddałam ją mamie, mówiąc, że nie mogę jeść zepsutego chleba i zjełczałego masła, bo zbiera mi się na wymioty. Mama patrzyła na mnie nieprzekonana. Sprawdzała, czy nie kłamię, ale po chwili przyjęła mój chleb. Nie zjadła – podsunęła mojej bratowej, która była wtedy w siódmym miesiącu ciąży.

Stopniowo zżyliśmy się z niebezpieczeństwem. Nie przerażały nas już kroki patroli nad naszymi głowami czy stukot samochodu. Coraz rzadziej mówiliśmy o tym, że możemy zostać odkryci. Coraz częściej za to zastanawialiśmy się, jak będziemy się poruszać na naszych opuchniętych nogach i czy zdążymy się ubrać (siedzieliśmy na posłaniach bez wierzchniego odzienia, z powodu zaduchu).

My, młodzi, sprzeczaliśmy się między sobą, jak będzie wyglądało nasze uwolnienie. Czy pójdą najpierw do ojca, żeby wziąć od niego klucz od piwnicy, czy przyjdą najpierw do nas, żeby otworzyć drzwi zapasowym kluczem, który miał mój brat. W końcu zgodziliśmy się, że już w bramie obwieszczą nam okrzykami radości, że jesteśmy wolni, a zamek po prostu rozbiją. Po takich rozmowach poprawiał się nastrój w bunkrze i cieszyliśmy się jak dzieci przed niespodzianką.

Tak minęło dziesięć dni. Około 20-tej, jak zwykle, szykowaliśmy się do snu. Nagle nad naszymi głowami na ulicy rozległy się szybkie i mocne kroki. Zniknęły w bramie, ale usłyszeliśmy je tuż obok przez ścianę. Nie zastanawiając się wiele, zaczęłam się ubierać w oczekiwaniu radosnych, niecierpliwych okrzyków: „wychodźcie, jesteście wolni". Wiedziałam, że za chwilę usłyszymy trzy zwykłe uderzenia i rzeczywiście. Raz, dwa, trzy, ale też cztery, pięć, sześć, mocniej, groźniej. Mocne uderzenia czymś ciężkim, żelaznym. Najpierw w drzwi, a potem w kłódkę. Słyszeliśmy już głosy w języku niemieckim. Skuliliśmy się w kącie, przerażeni. Czułam, jak mama naciąga mi pończochy i wciska w ręce jakieś pieniądze, szepcząc: „może z tym się uratujesz" i bez końca powtarzała jak gdyby modlitwę: „Uratuj nas i nasze dzieci".

Minęło kilka minut i nagle wszystko ucichło. Słyszeliśmy jeszcze oddalające się kroki i zapadła cisza. Ale nie ochłonęliśmy ze strachu. Może poszli po siekiery albo po dynamit? Mijały godziny i nikt nie przychodził. Powoli uspokajaliśmy się. Nie mogłam pozbyć się myśli, co by się stało, gdyby nas znaleźli. Zadręczałam się myślą, że ojciec na pewno wyszedłby z ukrycia, gdyby widział, że nas zabierają. Nie bałam się o siebie. Młodzi, mieliśmy może 25% nadziei na uratowanie się, ale moi rodzice mieli po 57 lat i nie mieli żadnych szans. A bratowa w siódmym miesiącu ciąży?

Na razie niebezpieczeństwo minęło, ale wiedzieliśmy, że może wrócić w każdej chwili. Noc i następny dzień przeszły w oczekiwaniu pełnym strachu. W nocy z niedzieli na poniedziałek, o ustalonej godzinie, usłyszeliśmy znajome pukanie. Ojciec wszedł i znalazł nas napiętych i przestraszonych. Opowiedział nam, że Niemcy rozbili drzwi i kłódkę, ale kiedy zobaczyli pomieszczenie zarzucone do sufitu częściami mebli, desek itp., nie pomyśleli, że za tym wszystkim jest przejście do następnego pomieszczenia, gdzie ktoś może się ukrywać, gdzie ukrywało się 17 Żydów.

Ponieważ bunkier nie dawał już pewności, ojciec postanowił zabrać nas do siebie, na strych, gdzie on sam się ukrywał, i tuż obok, do drugiego bunkra, gdzie ukrył część rodziny Chorzewskich, wysiedlonych z okolicznych miasteczek. Zabraliśmy tylko najniezbędniejsze rzeczy i poszliśmy parami, boso, aby kręcące się patrole nie usłyszały naszych kroków. Przeszliśmy przez długie i wąskie podwórze. Wspięliśmy się po skrzypiących, zewnętrznych schodach na pierwsze piętro, gdzie kiedyś mieszkała rodzina Działowskich. Znów drewniany podest, rodzaj balkonu, schody i już jesteśmy na strychu. Teraz należy się przeczołgać po drewnianej belce i na czworakach w kierunku otworu zamaskowanego kamieniami, i ześlizgnąć się przez otwór na niższy strych sąsiedniego budynku, który stał już przy ulicy Garncarskiej.

Przedsięwzięcie to trwało całą noc. Każdy ruch łączył się z niebezpieczeństwem, mógł zwrócić uwagę patrolujących żołnierzy. Dziadek Hanki poczuł nagle ogromną chęć zapalenia papierosa. Zachłyśnięcie się czystym powietrzem po 11 dniach duchoty mogło wywołać mimowolny kaszel, który byłby słyszalny w opustoszałym getcie na dużą odległość.

Nowe miejsce nie było wygodne. Mogliśmy tylko siedzieć lub leżeć. Przemieszczać trzeba się było na kolanach. Ale mieliśmy powietrze do oddychania, widzieliśmy swoje twarze i byliśmy z ojcem.

Przed domami na ulicy Garncarskiej żandarm patrolował przez całą noc. Słyszeliśmy jego kroki i pogwizdywanie.

Nasz dzień rozpoczynał się o 8-ej rano kostką cukru. O 10-tej – łyżeczka marmolady lub połowa kiszonego ogórka. Godzina 13-tej – główny posiłek: gotowany, zimny makaron z cukrem lub kasza. O 16-tej – gotowane w łupinach kartofle z odrobiną smalcu.

Rozmnożyły się pchły. Musieliśmy także ograniczyć zużycie wody. Mieliśmy ociężałe, nieruchome nogi i ręce. Skóra zwisała z nas. Uczesanie się było wielkim wysiłkiem. W ciągu dnia obserwowaliśmy ulicę przez szpary w drewnianym obudowaniu strychu.

Około 15.00 mój ojciec wychodził na zewnątrz, maskując za sobą wejście do bunkra. Aż do zmroku leżał na belce i nasłuchiwał głosów, aby zorientować się, co się dzieje na zewnątrz i gdzie mogą być Niemcy. Około 18-tej schodził do mieszkania pod nami, w którym – jako jednym z nielicznych – był prąd, i gotował na płycie elektrycznej –

dla nas i dla dziesięciu osób w drugim budynku. Nasze zapasy już się wyczerpywały, więc zdobywał jedzenie z mieszkań na górnych piętrach innych domów, przekradając się tam dachami. Około 1-ej w nocy wracał do nas. Oczywiście, do jego przyjścia nikt z nas nie zmrużył oka.

Wiedzieliśmy, że jeśli Niemcy nas nie odkryją, przetrwamy w bunkrze, dopóki nie odetną dopływu wody i prądu do getta.

Przez szpary w obudowie widzieliśmy małe transporty prowadzone dokądś, skąd nie wracały. Widzieliśmy, jak Niemcy znajdowali ludzi ukrywających się. Tych rozstrzeliwali na miejscu wśród klątw i naśmiewania się. Widzieliśmy, jak Niemcy plądrowali mieszkania i wynosili, co bardziej cenne „znaleziska". Rozniecali ogniska z książek.

Jednego dnia przeszukiwali też nasz dom. Słyszeliśmy dokładnie ich głosy na dole. Rozumieliśmy słowa – niemieckie, polskie i żydowskie. Słyszeliśmy szybkie kroki na drewnianych schodach – jednego człowieka. Chwila ciszy i nagle głos w pustce, w niewiadomym kierunku, w języku żydowskim: „ludzie, wychodźcie na wolność, nic wam się nie stanie".

Innym razem ktoś podszedł blisko włazu i, nie widząc nic, krzyknął w głąb: „Panie Frajman, pański syn mnie przysyła, wychodźcie". I tym razem nie posłuchaliśmy.

Po kilku dniach znów szukali i uderzali w ściany, aby przekonać się, czy za którąś z nich jest schowek. Tym razem byliśmy już pewni, że to koniec. Oświetlali latarkami zamaskowane wejście do schronu. Widzieliśmy na przeciwległej ścianie pełzające odblaski świateł latarek, wpadających poprzez szczeliny między kamieniami. Ale wejście było dobrze zamaskowane – ojciec sprawdzał każdego dnia.

Podobne wypadki zdarzyły się sześć razy. Tymczasem upragnione wyzwolenie nie nadchodziło. Minął drugi tydzień po akcji, trzeci... Zaczęliśmy już wątpić i tracić nadzieję. Każdy dzień i każda godzina były oczekiwaniem. Nie rozumieliśmy, co się dzieje. Ciągnęło się to do dwudziestego dnia naszego uwięzienia. Tego dnia obudziliśmy się pogodni i w dobrym nastroju. Około 15-tej usłyszeliśmy ciche i ostrożne kroki na schodach, i głos nabrzmiały płaczem: „Mamo, Tato". Zerwaliśmy się i podskoczyliśmy na naszych posłaniach, płacząc i śmiejąc się, obejmując się nawzajem. W ciągu kilku sekund podciągnęliśmy się do otworu. To był mój brat, Szmulik. Wpychał przez otwór kilka bochenków chleba i gotowane w łupinach kartofle. Był pewien, że zginęliśmy z głodu.

Okazało się, że Szmulik przekupił żydowska policję, żeby przeprowadzić nas do małego getta, które powstało po akcji. Kiedy policjanci wrócili i powiedzieli mu, że nikt nie odpowiedział na ich wołania, ale też nie znaleźli bunkra, który byłby odkryty przez Niemców, mój brat postanowił sam przedostać się do nas. Podszepnął jednemu Niemcowi, że wie, gdzie ojciec przechowuje zapasy cyny angielskiej, smoły i papy, których używał do pracy w swoim warsztacie. Były to surowce, zwłaszcza cyna, bardzo poszukiwane przez Niemców. Niemiec nie oparł się pokusie. W dodatku brat postarał się o kilka butelek

alkoholu i kiedy pijany Niemiec wyciągał z ukrycia „swoje skarby", mój brat pobiegł na strych, aby dać nam znak życia i wskazówki dalszego postępowania. Powiedział nam, że odcinają kolejne ulice od dopływu wody i prądu, i że musimy opuścić to miejsce i przyjść do tak zwanego małego getta, które Niemcy utworzyli na kilku ulicach dla 3,5 tysiąca ludzi, którzy pozostali przy życiu.

Musimy przejść opustoszałym gettem, między patrolami Niemców polujących nieustannie. Ojciec stwierdził, że trzeba to zrobić natychmiast, ale 27 osób nie może przejść jednocześnie bez zwrócenia na siebie uwagi.

Połowa ludzi wyszła w nocy z piątku na sobotę, następna połowa w nocy z soboty na niedzielę. Wychodziliśmy trójkami. W pierwszej trójce była ciocia i jej dzieci. Mieli znaleźć dla nas jakieś mieszkanie w małym getcie. Według planu mojego ojca cała operacja przechodzenia miała się odbywać między zgaszeniem świateł na ulicach a brzaskiem.

Spakowaliśmy w plecaki i toboły najpotrzebniejsze rzeczy i czekaliśmy w pogotowiu. W pierwszej trójce następnej nocy była mama i moja bratowa Hanka ze swoją matką. Ojciec szedł pierwszy przed wszystkimi trójkami. Kładł się na ziemi i z uchem przy bruku nasłuchiwał, czy nie zbliża się patrol. Najbliższa trójka, która miała teraz wyjść, zatrzymała się tymczasem w bramie, na zakręcie schodów do piwnicy, które były naszym pierwszym schronieniem. Odległość między naszym domem a bramą na Mostowej wynosiła około 50-60 metrów. Kiedy, według jego obliczeń, trójka dosięgała już wejścia do małego getta, sprowadzał ze schodów następnych troje. Następnej nocy ta sama procedura. Ojciec miał być ostatni i ja miałam pójść z nim.

W nocy, 17 października, po dwudziestu trzech dniach, wyszliśmy jako ostatni z bunkra. Wszystko odbywało się bez szmeru. Buty mieliśmy obwiązane szmatami, aby nie było słychać naszych kroków. Trójka przed nami już odeszła. Czekając, nie obliczyłam dobrze czasu i rozluźniłam trochę paski plecaka, który był dla mnie za ciężki, i nie zeszłam do bramy. Tymczasem ojciec niecierpliwie na mnie czekał. W końcu wrócił na górę do mieszkania, ponaglić mnie. I wtedy, jak na złość, nie mogłam założyć plecaka. Zrobiło się jasno, jeszcze trochę i nie będziemy mogli wyjść. Wszyscy, którzy czekali na nas w getcie, nie będą wiedzieli, dlaczego nie dotarliśmy. Ojciec zdenerwowany wziął mnie za rękę i tak wyszliśmy. Pierwszy krok na ulicy i nagle ojciec pchnął mnie do tyłu i szepnął: „schowaj się". Ukryliśmy się pod schodami. Na razie nie rozumiałam, co się stało, ale po kilku sekundach ja też usłyszałam miarowe kroki patrolu. Strach, ulga, mieszały się z wizją, co by było gdybyśmy wyszli o minutę wcześniej. Problem z plecakiem uratował nasze życie.

Przeczekaliśmy jeszcze, aż ucichły kroki patrolu, i wyszliśmy. Ojciec szedł pierwszy, a ja za nim. Poruszaliśmy się w ciszy przez pusty plac Rynku. Za każdym krokiem, za każdym rogiem czaiła się śmierć. Byliśmy już widoczni w obrębie całego placu. Odległość, którą musieliśmy przejść, nie przekraczała 60 metrów, ale już po kilkunastu krokach zaczęły się pode mną uginać nogi, odwykłe od chodzenia po 23 dniach

w schronie. Plecy bolą pod ciężarem plecaka i własnego ciała. Płuca źle działają pod wpływem czystego powietrza, zbiera mi się na kaszel, cieknie mi z oczu i z nosa. Nie widzę drogi przed sobą. Tylko sylwetka ojca wskazuje mi kierunek.

W cieniu bramy spotkaliśmy mamę i innych, którzy czekali już na nas. Policja żydowska, która patrolowała bramę, popędziła nas, żeby nie zatrzymywać się dłużej. Znajomy powiedział nam, że ciocia Ewa znalazła dla nas mieszkanie i podał nam adres.

17 października znaleźliśmy się w jednopokojowym mieszkaniu przy ulicy Garncarskiej 59. Byliśmy razem. Najbliższa rodzina: moi rodzice, brat ze swoją żoną i jej matka, ciocia Ewa z dwojgiem dzieci i ja. Dziewięć osób w jednopokojowym mieszkaniu, które służyło też za kuchnię. Ale kiedy zorientowałam się, co się stało z żydowską społecznością Częstochowy, zrozumiałam, że spotkało nas wielkie szczęście. Z 40 tysięcy ludzi zostało tylko 3,5 tysiąca – akcje i transporty trwały nadal. W krótkim czasie zorientowaliśmy się, że straciliśmy całą dalszą rodzinę.

Każdy dzień odkrywał nowe spustoszenia w ludziach. Całe rodziny zostały zgładzone. Cała nasza bliższa i dalsza rodzina zginęły. Najmłodsza siostra mojej mamy – Lea Frajerman, z sześciorgiem dzieci w wieku od 6 do 20 lat. Ojciec, siostra i dalsza rodzina mojej bratowej. Rodzina Biberów: rodzice i oboje dzieci – 18 i 20 lat. Rodzina Monetów: rodzice i 12-letnia córeczka. Secemscy. Rodzina Braunów: rodzice i 18-letnia córka Fela. Rodzina Izraelewiczów: rodzice i troje dzieci w wieku 8-19 lat. Najstarsza siostra mojej mamy, Hana Szwarc z mężem i 20-letnią córką. Sąsiedzi. Rodzina Hauptmanów: rodzice i 22-letni syn, Dawid. Rodzina Brzezińskich: rodzice i 19- letnia córka Gienia. Wielodzietne rodziny Szwarcbardów. Z mojej klasy, z gimnazjum doktora Axera, zostały tylko cztery osoby.

Stary Rynek 24 w Częstochowie. W tym domu znajduje się schron, w którym ukrywała się moja rodzina w czasie akcji w 1942 roku. Schron sięgał środka placu. Przed budynkiem moja rodzina – dzieci i wnuki, oraz przygodna grupa młodzieży izraelskiej, której opowiadałam historię 23 dni w schronie.

Old Market Square in 1924 in Częstochowa. In this house there is a shelter, where my family hid in action in 1942. Shelter reached the center of the square. Before building my family – children and grandchildren, and a casual group of young Israelis, which I told the story of 23 days in the shelter.

Pierwsze dni po wyjściu z bunkra były dalej niepewne. Niemcy szukali w getcie tych, którzy nie stawili się do jakiejś pracy i ukrywających się. Nasz wygląd zdradzał nas: oczy nieprzyzwyczajone do światła, blade i wychudzone twarze, chwiejne kroki, wygniecione ubranie, ze śladami parafiny. Tak wyglądali wszyscy, którzy ukrywali się w czasie akcji. Pierwsze dni poświęciliśmy na poprawę wyglądu. Oczyściliśmy się i wyprasowaliśmy ubranie. Staraliśmy się nie wychodzić w ciągu dnia z obawy przed pytaniami przypadkowo spotkanych znajomych. Nie było wiadomo, czy w pobliżu nie ma konfidenta.

Pierwszą rzeczą, którą zrobił mój ojciec, było przygotowanie bunkra dla mojej mamy, matki mojej bratowej i mojego kuzyna Wowka. Wszyscy oni byli poniżej lub powyżej wieku „dozwolonego" przez Niemców.

Po krótkim czasie stawiliśmy się do pracy. Ojciec zaczął pracować w ogólnej kuchni, która wydawała obiady wszystkim chętnym. Ciocia Ewa sprzątała ulice, aby być blisko bunkra. Mój brat pracował w jednym z zakładów, które uruchamiali Niemcy.

Ja, moja kuzynka Edzia i Hanka, moja bratowa (mimo 7-miesięcznej ciąży), dołączyłyśmy do grupy, która wychodziła codziennie sprzątać opustoszałe duże getto. Wynosiliśmy i segregowaliśmy rzeczy, które zostały w mieszkaniach pożydowskich. Niemcy gromadzili te rzeczy w specjalnych magazynach i wysyłali później do Rzeszy. Nasza grupa nosiła nazwę Garibaldiego, bo tam znajdowały się magazyny. Była to największa grupa wychodząca do pracy z małego getta, tak że Niemcy nie zwracali specjalnie uwagi na liczbę wchodzących i wychodzących. Co kilka dni brakowało paru osób, które albo przechodziły na stronę aryjską, albo uciekały do lasu.

Po pewnym czasie nałożono na brygadzistów obowiązek meldowania, ilu ludzi stawiło się do pracy i ilu wracało do getta. Nasza grupa była podzielona na podgrupy. Każda podgrupa zajmowała się wyłącznie jedną czynnością. My zgłosiłyśmy się do takiej, która zajmowała się opróżnianiem mieszkań, bo chciałyśmy zostać razem, a do tej grupy najłatwiej było się dostać ze względu na ciężką, fizyczną pracę.

Wszystkie domy przy ulicy Garibaldiego zostały podzielone i przeznaczone na magazyny. Pod numerem 28 gromadzono powleczenia i pościel, pod 19 szkło, porcelanę i naczynia kuchenne, pod 14 zabawki, gdzie indziej ręczniki, garnki itp.

Przy tej okazji natrafiałyśmy czasami na bunkry, mniej lub bardziej udane. Nie wiedziałyśmy, jaki był los ich użytkowników. Niektóre służyły za skład różnych towarów. Praca na tej placówce była źródłem działalności gospodarczej getta i broniła ludzi przed głodem. Nasza grupa nazywała się „Garibaldiego 28" i liczyła 28 osób – mężczyzn i kobiet. Sprzątając getto natykaliśmy się często na magazyny, składy, zapasy. Wszystko to odnosiliśmy do odpowiednich działów zbiórki, gdzie segregowano i wysyłano rzeczy do Rzeszy. Ale każdy z nas starał się uszczknąć coś dla siebie. Najbardziej poszukiwanym towarem była bielizna pościelowa, wsypy i ręczniki. Krótko przed końcową zbiórką apelową, przed powrotem do małego getta, wkładałyśmy na siebie pojedyncze części,

ściągałyśmy paskami i na to nakładałyśmy wierzchnią odzież, starając się wyglądać na apelu jak najbardziej normalnie.

Ludzie, którzy pracowali na placówkach na „polskiej dzielnicy", odkupywali to, sprzedawali i za otrzymane pieniądze przywozili żywność, którą my kupowaliśmy od nich. Handel odbywał się w markach niemieckich i był procederem niedozwolonym i niebezpiecznym. Czasami Niemcy przeprowadzali niespodziewaną rewizję osobistą i wtedy zaczynał się ruch. Ci, którzy mieli coś na sobie, starali się przesunąć niepostrzeżenie na koniec kolumny, aby pod osłoną zapadającego zmroku zdjąć z siebie ukryte rzeczy i zostawić na placu. Czasami było się tak obciągniętym gorsetem, że nie sposób było to zrobić. Moja bratowa, która była w ciąży, na ogół uchodziła kontroli. Niemcy widzieli codziennie jej brzuch i w swojej głupocie nie podejrzewali niczego. Raz nie zdążyłam zdjąć z siebie dwóch poszewek, więc poszłam na kontrolę z rozpiętym paltem, trzymając w ręku porcję chleba, a drugą odchylając połę palta z pewną siebie miną. Oczywiście, że za te przestępstwa płaciło się życiem i nie jeden raz na naszych oczach zostawał na placu brutalnie zastrzelony człowiek. Byli odważni, którzy w nocy robili wypady, to znaczy „skoki" za granicę getta i te też kończyły się często śmiercią.

***

15 grudnia rozpoczęły się u Hanki bóle porodowe. Przez dwie doby męczyła się w jednopokojowym mieszkaniu, w którym przebywało 9 osób. W końcu poszła do „szpitala" w getcie, gdzie po wielu zabiegach urodziła dziecko płci męskiej. Tego samego dnia wróciła do domu, bo szpital był niebezpiecznym miejscem. Dziecko wróciło z nożyczkami przy pępowinie, bo lekarz twierdził, że nie należało zostawiać go przy życiu. Hanka zaczęła rozpaczać i zdecydowano się zostawić dziecko. Dziś wiem, że straciłam matkę, aby mój brat mógł mieć żonę. Było jasne, że niemowlę nie ma szans przeżycia i pociągnie za sobą śmierć innych ludzi. Dziś wiem, że lekarz nie powinien był zostawiać nikomu możliwości decyzji, ale dać maleństwu zastrzyk morfiny i zakomunikować Hance, że dziecko zmarło na skutek powikłań poporodowych.

4 stycznia 1943 roku szykowaliśmy się jak zwykle do wyjścia, każdy na swoją placówkę. Mama prosiła mnie, żebym dziś nic nie przynosiła do getta, bo miała zły sen. Śniło jej się, że Niemcy złapali mnie na „fasowaniu" powleczenia. Zaczęli mnie bić do krwi i utraty przytomności. Mama zaczęła polewać mi twarz wodą, aby mnie ocucić. Na to zjawiła się babcia Frajman (zmarła w 1937 roku) i powiedziała: „nie polewajcie tak wodą tego dziecka, bo może się przeziębić".

Mniej więcej w południe doszła do nas wiadomość, że w getcie odbyła się akcja. Patrzyliśmy z niepokojem poprzez gęsto padający śnieg, jak gdybyśmy mogli coś dojrzeć. Około 14.00 usłyszeliśmy od strony getta serię wystrzałów. Uspokajałam siebie, moją kuzynkę i bratową, że przecież w tym domu ojciec, od razu z naszym przyjściem z dużego getta, urządził schron.

Wieczorem wróciliśmy do getta ustalonym trybem. Po przekroczeniu straży rzuciliśmy się pędem do domu. Ujęłam klamkę. Otwierając drzwi nie widziałam nikogo, słyszałam tylko płacz i zawodzenie. Nie mogłam wejść, zatrzasnęłam za sobą drzwi i zaczęłam uciekać, nie wiedząc, dokąd. Nie wiem, jak znalazłam się znowu w mieszkaniu. Mama i brat wybiegli za mną i dowiedziałam się, że mój ojciec został zabity. Mama powtarzała bez przerwy: „wysłany", ale ciocia Ewa, która była na Ryneczku Warszawskim w czasie akcji powtarzała: „zabity, zabity".

FAKTY:

Kiedy rano zapowiedziano, że wszyscy przebywający w getcie mają stawić się na Ryneczku, moja mama z bezimiennym, 17-dniowym wnukiem i Wowek, mój 12-letni kuzyn, poszli natychmiast do bunkra. Matylda, matka mojej bratowej, marudziła trochę i nie zdążyła wyjść. Zabrano ją z mieszkania i odstawiono do punktu zbornego. Ciocia Ewa i mój ojciec wyszli na Ryneczek. Rozpoczęła się akcja. Dwa razy ojciec został wyznaczony do wysyłki i obydwa razy wyreklamował go prezes gminy, Kopiński, jako niezastąpionego przy konserwacji różnych urządzeń. Akcja miała się ku końcowi, kiedy członek ŻOB-u wystrzelił z rewolweru do Niemca. Rewolwer nie był sprawny i Niemiec został tylko ranny (o takich rewolwerach i innej broni wspomina Marek Edelman w reportażu Hanny Kral „Zdążyć przed Panem Bogiem"). Tym razem Niemcy wybierali co dziesiątego i mój ojciec znalazł się wśród 25 skazanych na rozstrzelanie.

Już tu, w Izraelu, Mietek Lejzerowicz opowiadał mi, jak mężny był mój ojciec. Wykrzykiwał mocnym głosem: „nasza niewinna śmierć na wasze głowy, zginiecie jak karaluchy rozdeptane zemstą tych, którzy przyjdą po nas".

Minęła noc, pełna majaków i złudnych snów. Wstaliśmy, aby wyjść do pracy. Mama wstała pierwsza. Siedziała na niziutkim stołku, jak gdyby odprawiała tradycyjną pokutną żałobę po zmarłym. Reperowała roboczą odzież mojego brata. Na kuchence gotowała się jakaś potrawa dla niemowlęcia i dla nas, kiedy wrócimy z pracy. Żegnając się, jak zwykle przez wszystkie lata pocałunkiem, błagałam ją, aby zeszła do bunkra.

Wieczorem w pustym mieszkaniu zastaliśmy tylko ciocię Ewę i Wowka. Ciocia Ewa, która musiała być na ulicy, bo pracowała przy odgarnianiu śniegu, opowiedziała nam, że mama wyszła dobrowolnie z mieszkania z dzieckiem, nie schodząc do bunkra.

Już z punktu zbornego przysłała list pisany po żydowsku:

Edziulka, bądź silna. Musiałam być wierna twojemu ojcu. Nie spotkałam nigdzie pani Chorzewskiej. Powiedz Hance, że zajmą się jej dzieckiem jak własnym. Pociesz się i bądź człowiekiem.

Mama

Mama zostawiła mi ciężkie dziedzictwo. Staram się wypełniać jej zalecenia do końca.

BLIŻYN

Na początku marca 1943 roku mój brat, Szmulek, otrzymał wezwanie do stawienia się w Judenracie. Takie wezwanie nigdy nie wróżyło niczego dobrego. Byliśmy zrozpaczeni. Nie wiedzieliśmy, co począć, do kogo się zwrócić. Bez ojca nie mieliśmy kontaktów w świecie, który rządził naszym życiem. Osoba, u której wynajmowaliśmy pokój, poradziła nam pójść osobiście do Judenratu i przypomnieć się panu Kopińskiemu, prezesowi, który w czasie akcji na Ryneczku Warszawskim, 4 stycznia, dwukrotnie wyciągnął ojca z grupy przeznaczonej do transportu. Od śmierci niestety nie mógł go uratować. I uświadomiłam sobie ogrom naszego nieszczęścia. Nasza rodzina rozpada się, ginie. Cały wysiłek mojego ojca idzie na marne.

W Judenracie pocieszono mnie i Hankę, że Szmulek na pewno zostanie zwolniony, że został zatrzymany przez pomyłkę. Poszłyśmy do pracy, na placówkę, ul. Garibaldiego, podniesione nieco na duchu. Około 10-tej ktoś wszedł na salę, gdzie pracowałyśmy przy sortowaniu zabawek zebranych w mieszkaniach byłego getta, i opowiedział, że przyprowadzono do łaźni numer 18 grupę Żydów z „małego" getta. Niemcy w swojej pedanterii przeprowadzali wszystkich wysyłanych do innych obozów przez łaźnię i dezynsekcję odzieży. Pobiegłyśmy szybko z Hanką i nim wprowadzono ich do łaźni, zobaczyłyśmy między nimi Szmulka. Podeszłyśmy, żeby się dowiedzieć, co się dzieje. Na miejscu nie było Niemców. Całą grupę 28 osób konwojowała żydowska policja. Szmulek powiedział nam, że wysyłają ich do obozu pracy, nie wiadomo, dokąd. W grupie znajdowali się lekarz i pielęgniarka. W kilka sekund Hanka zamieniła się z pielęgniarką, która uszczęśliwiona pobiegła do magazynu zabawek, aby razem z całą placówką wrócić do getta. Nie mieliśmy nazwisk, nie mieliśmy twarzy. Niemcy wpuszczali do getta tę samą liczbę ludzi, którą wypuścili rano.

Wyszliśmy z łaźni. Policjanci pozwolili mi zostać na razie z nimi, ale ja czułam, że reszta mojego życia rwie się w strzępy i w tej chwili postanowiłam i oznajmiłam na głos, że idę razem z nimi. Szmulek i Hanka zaczęli mnie zaklinać, żebym tego nie robiła, że nie wiadomo, dokąd ich wysyłają, że tu mam dach nad głową i cztery ściany wokół siebie i że zostaję z ciocią i kuzynką. Popatrzyłam w kierunku getta, które symbolizowało dla mnie śmierć Rodziców. Teraz miałam zostać zupełnie sama – bez niczego i bez nikogo.

Policjanci zgodzili się, żebym odprowadziła całą grupę do granicy getta, na ul. Wilsona. Po drodze wszyscy starali się nakłonić mnie do zmiany decyzji. Przy granicy getta, gdzie miała odebrać nas polska policja, dwóch żydowskich policjantów, widząc, że nie zamierzam rezygnować z mojego zamiaru, próbowało zatrzymać mnie siłą. Zaczęłam się z nimi szarpać. W końcu Szmulek zrozumiał, że nic mnie nie przekona. Poprosił, żeby dali mi spokój i pozwolili pójść razem z nimi.

Konwój żydowski wrócił do getta, a nas przejął konwój policji polskiej, który poprowadził nas ulicą Wilsona na dworzec kolejowy przy ulicy Piłsudskiego. Hanka i ja zostałyśmy w tym, co miałyśmy na sobie, kiedy wybiegłyśmy w pośpiechu z magazynu.

Po decyzji dołączenia się do transportu bałyśmy się wrócić po cokolwiek z ubrania czy po jakieś jedzenie.

Idziemy przez centrum miasta, transportowani przez 8 policjantów, a na nasz widok pustoszeją ulice. Przechodnie, nie wiedząc, co się dzieje, obawiają się przypadkowych łapanek, tak często urządzanych przez Niemców. Na dworcu, odosobnieni, czekamy przez kilka godzin. Pod wieczór prowadzą nas peronem, a potem wzdłuż torów, w kierunku Stradomia, gdzie na bocznym torze czeka pociąg towarowy, przeznaczony do przewozu towarów, bydła i Żydów.

Przed czterema miesiącami skończyłam 17 lat, ale całe życie było już poza mną. Czy to nie wszystko jedno, gdzie umrę? Sadowimy się w wagonie, na podłodze, w kurzu i brudzie. Policjanci zamykają nas od zewnątrz na sztabę i odchodzą. Zostawiają dwóch kolegów na straży.

Czekamy, milczymy. Nie ma tematu do rozmów. Każdy pogrążony w swoich myślach, wspomnieniach. Późnym wieczorem doczepiają lokomotywę i ruszamy. Jedziemy powoli. Czekamy przez kilka godzin i znowu jedziemy, znowu czekamy i znowu jedziemy.

Jemy to, co ci, którzy byli przygotowani na wysyłkę, zabrali z domu i co dziewczyny z placówki zdążyły wcisnąć Hance i mnie przed przekroczeniem granicy getta. Jedziemy przez całą noc i cały następny dzień. Jeden raz w nocy pozwalają nam opuścić pojedynczo wagon, żeby się załatwić. Następny może wyjść po powrocie poprzednika. W czasie jednego z postojów lekarzowi udało się uciec. Przedtem, przez kilka godzin instruował mojego brata jak postępować z chorymi i co przepisywać na rozmaite dolegliwości. Leczenie w obozie tak czy inaczej nie istniało. Zostawił też Szmulikowi walizeczkę lekarską i opaskę z czerwoną Gwiazdą Dawida.

Pociąg zatrzymał się w środku nocy w pustym miejscu. Kazali nam wysiąść i kilku polskich policjantów wraz z żołnierzami niemieckimi w mundurach SS – uzbrojonymi w karabiny i z wilczurem na smyczy – przeliczyło nas kilkakrotnie. Byliśmy znów 28-osobową grupą. Kazali nam iść w określonym kierunku. Szliśmy w ciemności przez wertepy. Ostry wiatr uzmysławiał nam, że poruszamy się po niezamieszkałym terenie.

Po długim marszu spostrzegliśmy kilka budynków ogrodzonych drutem kolczastym. Wchodzimy, znowu liczenie, idziemy dalej, przechodzimy przez mostek, słyszymy szumiącą pod nim rzeczkę i w końcu dostrzegamy szeregi baraków. Dookoła zupełna ciemność. Każą nam wejść do jednego z baraków i w świetle latarki esesmana, widzimy dwa rzędy drewnianych prycz.

Wolno nam położyć się spać. I tak jak stoimy w ciemnościach, po prawie dwóch dniach jazdy pociągiem, kładziemy się w ubraniu na gołych deskach bez koców. Zgięte ramię pod głowę, płaszcz do przykrycia. Głowa pusta, żadnych myśli, nie ma wczoraj, nie ma jutra, tylko przymknąć oczy i zapaść się w nicość.

Nad ranem obudził mnie szmer rozmów i ostre zimno. Skostniałam do bólu wszystkich mięśni. Było jeszcze ciemno. Pośrodku baraku paliło się małe ognisko i dookoła stali ludzie, grzejąc się. Podeszłam do nich. Byli to ludzie przywiezieni tej samej nocy z gett Radomia i Tomaszowa Mazowieckiego. W grupie tomaszowskiej znajdowały się dwie kobiety, które też przyjechały dobrowolnie ze swoimi mężami. W grupie radomskiej przyjechało pięciu policjantów żydowskich. Naliczyliśmy w sumie 102 osoby. Dowiedzieliśmy się, że trafiliśmy do Bliżyna pod Skarżyskiem. Nie byliśmy pewni czy to miasteczko, czy wieś.

Wcześnie rano ustawiono nas do apelu pod barakiem. Na czele stali policjanci żydowscy obuci w półwojskowe oficerki. Mieli czerwone otoki na czapkach, a w rękach skórzane pejcze na wzór niemieckich. Po jakimś czasie pojawiła się grupa esesmanów wysokiej rangi z Obersturmbannfuhrerem na czele. Oficer ten, nazwiskiem Nell – niemłody, pokraczny, z nieodłącznym pejczem i wilczurem przy nodze – już samym wyglądem i zachowaniem budził strach. Jego pies nigdy nie atakował ludzi w oficerkach, w tym żydowskich policjantów, ale zawsze każdego, kto wysuwał się z szeregu. Podobnie tresowane psy spotkaliśmy później w Birkenau.

Na tym pierwszym apelu nie pokazała się grupa strażników, Ukraińców i Łotyszy, którzy spełniali później rolę egzekutorów. Kilkakrotne liczenie przez policjantów żydowskich i ich komendant, Szlomo Minc z Radomia zdaje po wojskowemu raport Nellowi.

Nell wygłosił mowę tłumaczoną przez Minca na polski: „znajdujemy się w obozie pracy, aby pracować. Jeśli nie będziemy uchylać się od pracy, będziemy pilnować porządku i czystości oraz podporządkowywać się zarządzeniom władz, nie spotka nas nic złego”.

Obóz miał za zadanie świadczyć usługi niewojskowe dla frontu, takie jak reperacja bielizny i mundurów, skarpet wełnianych i rękawiczek oraz produkowanie ciepłych rannych pantofli.

Staliśmy – 102 osoby – przed szeregami baraków, z których każdy mógł pomieścić 800 do 1000 osób. Nie zbudowano ich dla nas, były stare. Zastanawialiśmy się, kto zajmował je wcześniej i jaki był los poprzednich użytkowników. Jak dowiedzieliśmy się od okolicznych mieszkańców, którzy podchodzili pod druty, aby sprzedawać nam jedzenie, przed nami przebywało w tych barakach 11 tysięcy jeńców radzieckich. Ich losu mogliśmy się domyślić, patrząc na wielkie ciemne plamy na ścianach i podłodze baraków.

Powrócę jeszcze do Nella. O ile esesmani niższych rang nie wchodzili niepotrzebnie w konflikty z więźniami i często patrzyli przez palce na drobne wykroczenia, o tyle Nell był zaciekłym, fanatycznym sadystą. Trzymał cały obóz twardą ręką, samym widokiem wzbudzał strach. Często szczuł swego wilczura na nas. Jeśli ktoś poruszał się zbyt wolno albo zbyt szybko, lub unosił rękę, co można było wytłumaczyć jako próbę napaści, pies atakował z własnej inicjatywy. Nawet, jeśli wszystko odbywało

się zgodnie z niemieckim regulaminem, Nell szczuł psa dla własnej przyjemności albo bił pejczem każdego, kto miał pecha natknąć się na niego przypadkiem lub stał przy drodze w zasięgu jego pejcza. Wielogodzinne apele i kary batów stanowiły ulubiony system kar Nella, nawet za drobne wykroczenia. 25, 50, 75 batów – wymierzano w zależności od rozmiaru przewinienia lub humoru Nella – na gołe plecy.

Początkowo karę wymierzano na stojąco przy słupie, ale Niemcy szybko doszli do wniosku, że ten system bicia jest mniej efektowny i zbyt męczący dla bijącego. Więźnia zaczęto kłaść na łóżku plecami do góry. Wtedy razy spadają prostopadle, z większej wysokości, no i bijący esesman mniej się męczy. Wszystko to odbywało się w czasie apelu i musieliśmy patrzeć, jak nasi koledzy wkładają koszule na posiekane plecy. Koszula natychmiast nasiąkała krwią.

Były dwa sposoby wymierzania kary. W obecności Nella zajmowali się tym esesmani, w czasie jego nieobecności powierzano to zadanie żydowskim policjantom. Policjanci bili szybko, z niewielkiej wysokości, często mylili się na korzyść więźnia. Esesmani bili z wysoka, przeciągali pejczem po skórze, odczekując kilka sekund między jednym uderzeniem a drugim. Punktem honoru dla bitego było nie krzyczeć w czasie bicia, nie prosić o zmniejszenie kary, a na koniec nonszalancko i z uśmiechem nałożyć koszulę i spokojnym krokiem wrócić do szeregu.

Mieliśmy w Bliżynie dwa pragnienia: wyjść żywym z obozu i żeby nasz oprawca poniósł zasłużoną karę. Jak doszło do naszych uszu po wojnie, Nell został złapany. Wielu byłych więźniów Bliżyna pojechało na proces. Nie skazano go, bo psychiatrzy orzekli, że nie był w pełni władz umysłowych.

***

Mężczyźni zostali ulokowani w baraku, a kobiety w jednym z pokoi w zabudowaniach gospodarczych. Budynki zajmowane przez esesmanów znajdowały się dość daleko od otoczonego drutami kolczastymi obozu. Stały za rzeką Kamienną, za kolejnym odrutowaniem.

W tym okresie kobiety pracowały w kuchni i przy sprzątaniu pomieszczeń administracyjnych. Mężczyźni byli zatrudnieni poza terenem obozu i przy przystosowywaniu istniejących budynków do ich przyszłego celu – miały służyć jako warsztaty.

Straży nad nami właściwie nie było. Każdy esesman odpowiadał za swoją grupę ludzi. Dzień zaczynał się i kończył jednakowo: o świcie apel, racja chleba i praca do obiadu, wydawanego przy kuchni, znów praca do wieczornego apelu, porcja chleba o 21-ej, gaszenie świateł w pomieszczeniach administracyjnych i Niemcy wynosili się na swój teren. Spokoju i porządku pilnowała policja żydowska. Nikomu nie było wolno opuszczać swojego pomieszczenia w czasie „Nacht szpery". Zresztą baraki były zamykane od zewnątrz. W barakach światło paliło się przez całą noc.

Po jakimś czasie między mężczyznami zaczęły się rozmowy, że w okolicznych lasach działają grupy partyzanckie i że można, dzięki słabej straży, wydostać się z obozu i – w wypadku nie znalezienia kontaktów – przedostać się z powrotem do getta.

Po dwóch tygodniach zdarzyło się pierwsze nieszczęście. Na porannym apelu brakowało jednego człowieka. Ktoś z naszej, częstochowskiej grupy uciekł. Po krótkiej naradzie Niemcy zarządzili „Block szperę", czyli zamknięcie nas pod kluczem, i ponowny apel o godzinie 12.00. Wiedzieliśmy, niestety, co to znaczy. Niemcy przy każdej okazji grozili, że jeśli ktoś odważy się uciec, ktoś inny zostanie skazany na śmierć.

Kwadrans przed 12-tą wygoniono nas na apel. Staliśmy w trzech szeregach. Na początku pierwszego szeregu pięciu policjantów żydowskich, następnie my, kobiety. Policjanci mieli ponure twarze. Wiedzieli, czyj los się waży?

Punktualnie o 12-tej zjawiła się cała kadra esesmańska z Nellem na czele, a w pewnej odległości za nimi trzech żołnierzy z korpusu Własowa (jedność celu – owszem, ale hierarchia między panem a sługą, dzięki Bogu, jest). W kącikach ich ust błąkały się uśmiechy. Wodzili po nas wyniosłym spojrzeniem. Wiedzieliśmy już, co rozegra się tu za chwilę. Tylko, kto?

Nell ze swoją świtą przechodzi przed nami, nie darząc nas nawet spojrzeniem. Na apelach my, kobiety, miałyśmy swoje stałe miejsce na początku szeregu. Obok nas zawsze stał mój brat.

Minął nas, a my nie mamy siły ani odwagi, aby odwrócić spojrzenie w jego kierunku, żeby zobaczyć... kto? Jeszcze kilka sekund i widzimy wyciągniętego z szeregu 18-letniego chłopaka z Częstochowy, o imieniu lub przezwisku Bulwik. Słyszymy szamotanie się, chyba płacz, jednoczesny odgłos trzech strzałów karabinowych i – cisza. W powietrzu tylko unosi się swąd prochu. Rozkaz: rozejść się. Rozchodzimy się, ale każdy z nas rzuca jeszcze ostatnie pożegnalne spojrzenie na leżące pod ścianą zwłoki Bulwika, o którym właściwie nie wiedzieliśmy nic, poza tym, że był wesołym, zadziornym chłopakiem, nie bał się niczego i nikogo. Więc dlaczego właśnie on? Czy naraził się komuś z Niemców? Czy odezwał się niegrzecznie do policjanta, czy może dopatrywano się u niego chęci ucieczki?

Znacznie później, kiedy obóz liczył już kilkuset ludzi (ciągle przybywały świeże transporty), uciekło jednego dnia siedem osób. I znów siedmiu innych przypłaciło to życiem, między innymi policjant z Kielc, nazwiskiem Cukier, który był odpowiedzialny za tę grupę.

Jeszcze jedna egzekucja została wykonana, co prawda poza drutami, ale na naszych oczach. Był to człowiek nazwiskiem Szac, z Radomia lub Tomaszowa, odpowiedzialny za aprowizację obozu. Miał stanowisko, które kusi do nadużyć. W ciągu dnia Niemcy sporządzili rewizję. Nie wiadomo, co znaleźli, ale nagle zwołano apel wszystkich znajdujących się w obozie. Stanęliśmy do apelu jak zwykle, nie wiedząc, w jakim celu, gdy nagle zobaczyliśmy Szaca eskortowanego przez sześciu uzbrojonych żołnierzy, już za

drutami. Oddalali się od obozu, ale przedtem przeszli wzdłuż drutów, abyśmy widzieli. Szac niósł łopatę, którą miał wykopać własny grób. Staliśmy jeszcze na apelu, kiedy usłyszeliśmy strzały. Dopiero potem można się było rozejść do pracy.

Wracam do początków. Przez sześć tygodni chodziłyśmy, Hanka i ja, w tym, co miałyśmy na sobie w dniu wyjazdu. Wszyscy inni przygotowali się do wyjazdu z domu. Po licznych prośbach pozwolono cioci Ewie przysłać nam paczkę z bielizną, ubraniem i trochę żywności. Była to jedyna paczka, jaka doszła do Bliżyna.

Tymczasem przychodziły nowe transporty i obóz liczył już trzysta osób. Jedzenia, jak to w obozach, nie wystarczało. Rano – bochenek wojskowy na osiem osób, w południe – zupa, która zawierała trochę ziemniaków i brukwi. Małe ilości mięsa, które miały być w zupie, nikły gdzieś po drodze. Wieczorem znowu – bochenek chleba na osiem osób. Należało go jeszcze samemu podzielić. Jak to zrobić? Mnie przypadł w udziale wątpliwy zaszczyt i trudny obowiązek dzielenia chleba. Mieszkałyśmy wtedy w budynku administracyjnym – jedyne osiem kobiet w obozie. Było nas zbyt mało, aby przeznaczyć dla nas barak. Jak dzieliłam chleb? Na oczach wszystkich odznaczałam na podłużnym bochenku siedem linii, licząc się z jego szerokością. Kiedy wszystkie współlokatorki zgodziły się z tym podziałem, kroiłam chleb, następnie odwracałam się i trzymając dwie kromki za plecami, pytałam każdą z dziewczyn po kolei, z której ręki chce. Ani ja, ani żadna z nich nie widziała moich rąk. Sprawiedliwie?

My, kobiety, pracowałyśmy wyłącznie w kuchni. Odpowiedzialny za kuchnię był niemłody esesman sprzed hitlerowskiej szkoły. Pozwalał kucharzowi dawać nam po jednej porcji zupy do zjedzenia na miejscu. Porcją, którą dostawałyśmy potem z ogólnego kotła, każda z nas dzieliła się z kimś bliskim. Nasza praca w kuchni polegała na obieraniu ziemniaków, które były podstawowym i głównym składnikiem naszego wyżywienia. Punktem honoru były cienkie obierki. Dzięki nim można było utrzymać tę dobrą pracę jak najdłużej. Któregoś dnia zobaczyłyśmy przez okno w kuchni, jak mężczyźni grzebią w pojemnikach z odpadkami, przed chwilą wyniesionych z kuchni, i jedzą na surowo obtarte z piachu obierki. Od tego czasu przemycałyśmy w łupinach kawałki kartofli i obierałyśmy je grubiej, uważając żeby nie zostało to poczytane za sabotaż, za marnowanie niemieckiego mienia. Pamiętałyśmy dobrze Szaca z aprowizacji.

Z upływem miesięcy przybywały ciągle nowe transporty. Getta w większych miastach były systematycznie likwidowane i ci, których ominął Majdanek i Treblinka, byli wysyłani do obozów pracy, jak Bliżyn, czy ośrodków produkcji, jak Wronki i Skarżysko. Największy transport przybył po likwidacji getta w Białymstoku. Obóz liczył już trzy tysiące osób. Nie przybyło jednak miejsca ani urządzeń sanitarnych. Wtedy nastąpiło to, co zwykle w sytuacji głodu, przy złych warunkach sanitarnych i zagęszczeniu mieszkaniowym: epidemia tyfusu plamistego. Krótko po założeniu obozu Niemcy zaszczepili przeciwko tyfusowi pracowników kuchni, personel sanitarny i policjantów żydowskich, a także Janika, który codziennie wychodził z obozu, sprzątać pomieszczenia

niemieckie. Mimo to tyfus wybuchł już w kwietniu czy maju 43 roku. Zachorowało kilka osób, w tym moja bratowa.

Chorych umieszczono w „lecznicy", która znajdowała się w budynku administracyjnym. Sześć łóżek, termometr i aspiryna - to było całe wyposażenie „lecznicy". Zgłosiłam się wówczas ochotniczo do pracy przy chorych, ale jedyne, co można było dla nich zrobić, to podawać wodę do picia, karmić, kłaść zimne okłady na czoło, dezynfekować pomieszczenia, ciągle zanosić ubrania do dezynsekcji, no i czekać z niepokojem do dziewiątego dnia choroby, kiedy następował kryzys. Na szczęście wszyscy nasi chorzy wyszli z tego.

Niestety, inaczej wyglądała sprawa na początku 1944 roku. Co prawda, krótko po nas przybył z Radomia dr Wajngarten z żoną Sabiną, pielęgniarką, ale lekarstw na tyfus i tak nie było. Albo się przeżywało, albo nie. Tym razem i ja zachorowałam. Przebieg mojej choroby był stosunkowo lekki, ponieważ działała jeszcze szczepionka z ubiegłego roku. Tyfus zaatakował z całą siłą. Tysiąc osób padło jego ofiarą – jedna trzecia całego obozu. Reszty dokonał głód, wycieńczenie, komplikacje potyfusowe. Ludzie umierali, stojąc na apelu. Usuwano z szeregu tego, który upadł i liczenie trwało dalej. Umierali, siedząc na ławce w łaźni, w oczekiwaniu na czystą bieliznę, która miała nadejść z obozowej pralni. Padali w kolejce po zupę.

Przy kotle z zupą rozgrywały się dantejskie sceny. Ludzie walczyli o dodatkową chochlę cienkiej zupki, bo od tego zależało ich życie. Nam, pracującym w małych warsztatach kobietom, było to zaoszczędzone. Wysyłałyśmy jedną z nas, która przynosiła dla wszystkich.

Już po wojnie spotkałam przypadkiem na ulicy policjanta, który miał stały dyżur w kuchni. Wymieniliśmy informacje osobiste. Powiedział mi, że właśnie wyszedł z więzienia, gdzie spędził pięć lat. Może oczekiwał współczucia, ale ja milczałam, bo stało mi przed oczami jego ramię z pejczem spadającym z wściekłością na głowy i plecy moich współtowarzyszy. Nie wymieniam jego nazwiska, bo poniósł już zasłużoną karę. Na podkreślenie zasługuje fakt, że to polski wymiar sprawiedliwości wymierzył karę żydowskiemu policjantowi za znęcanie się nad żydowskimi więźniami.

Z rozrostem obozu, my, zamieszkujące dotychczas budynek administracyjny, zostałyśmy przeniesione do nowo utworzonego kobiecego baraku. Baraki mężczyzn były odseparowane, ale po godzinach pracy, do 21-ej, kiedy zamykano baraki, rodziny mogły odwiedzać się nawzajem (na krótko).

Dwupiętrowe prycze były niepodzielone i każda z nas miała do dyspozycji miejsce szerokości około 70 centymetrów. Cały swój dobytek umieszczałyśmy za wezgłowiem.

Wracam do głodu. Mężczyźni znosili gorzej od kobiet warunki obozowe, a najgorzej radzili sobie ci, których przywieziono z innych obozów. Po prostu nie mieli nic, co mogliby zamienić na żywność. Po normalnych godzinach pracy udawałam się do baraku szpitalnego (byłam już uodporniona na chorobę), aby pomóc szczupłemu

personelowi. Pierwszy raz w życiu widziałam ludzi spuchniętych z głodu. Oczy – ledwo widoczne w twarzy, nogi, które nie unosiły ciężaru ciała. Najciężej było patrzeć na ludzi, których znałam jako wesołych mimo ciężkich warunków, optymistycznych, rozmownych, leżących teraz na pryczach ze szklanym wzrokiem, obojętnych na wszystko. Czasem tylko żywsze spojrzenie dawało mi do zrozumienia, że mnie poznają i że są wdzięczni. Dwoje z nich, Runią Płockier i Mordek Krakauer, pomogło mi zresztą wiele lat później, w ciężkim okresie życia.

Ci, którzy przemogli chorobę, cierpieli później na różne potyfusowe dolegliwości – osłabienie, wypadanie włosów, szkorbut, wypryski skórne. Jedynymi lekarstwami, jakie dr Wajngarten mógł przepisać, były dodatkowa porcja zupy i porcja surowej kiszonej kapusty. Obydwie recepty były przez kuchnię respektowane. Poza tym liczba więźniów zmniejszyła się na skutek tyfusu o 1/3. Naczelny lekarz mógł przez jakiś czas wykorzystywać ten fakt i zwiększać nasze zaopatrzenie, ale tylko w zupę, bo chleb Niemcy skrzętnie liczyli.

Dodatkową plagę, obok głodu, tyfusu i wszy, stanowiły szczury. Obóz był umieszczony w polu, w odległości kilku kilometrów od innych ludzkich siedzib. Niemcy zabierali systematycznie chłopom większą część zbiorów w ramach kontyngentów, na potrzeby wojska i ludności cywilnej w Niemczech. W obozie znajdowały się magazyny żywności, niestrzeżone przez koty, pułapki czy trutki. Pod pryczami, w postawionych na gołej ziemi barakach, a także w pralni i odwszalni, gdzie było zawsze ciepło, miały idealne warunki rozwoju, więc rozmnażały się do ilości niepojętych. W nocy wychodziły spod prycz setki, całe pokolenia szczurów różnej wielkości i zżerały wszystko, co było możliwe do zjedzenia, a co oszczędzałyśmy z naszych porcji lub z tego, co udało nam się zakupić za sprzedane części ubrania. Przegryzały nawet ubrania, które były zawieszone na belkach baraków, jeśli poczuły ukryty tam chleb.

Co gorsza, baraki były zamykane od zewnątrz, a oświetlone od wewnątrz. Po 21-ej nie można było wyjść do ogólnej ubikacji poza barakiem. Niektórzy byli zmuszeni do używania naczyń, które potajemnie produkowali i sprzedawali blacharze. Stada szczurów rzucały się z dzikimi piskami na te naczynia i zżerały ich zawartość.

Z czasem szczury tak się rozzuchwaliły, że pokazywały się nawet w dzień. Przebiegały przez uporządkowane prycze w poszukiwaniu jedzenia i kąsały tych, którzy przebywali na pryczach po nocnej zmianie. Najczęściej kąsały w nos lub w gołe palce. Ukąszeni dostawali w ambulatorium szczepionki przeciw strychninie. Niemcy nie byli zainteresowani zniszczeniem tej plagi, która trapiła nas aż do likwidacji obozu.

AKCJA DZIECI

Kilku rodzinom z Radomia i Białegostoku udało się przemycić do Bliżyna po jednym dziecku, chyba cudem uratowanym z akcji i wysiedleń. Dzieci nie stawały do apelu, mimo że Niemcy wiedzieli o nich. Ukrywały się przez cały dzień w baraku, aż do

przyjścia matek z pracy. Po wieczornym apelu wychodziły z matkami przed barak, aby zaczerpnąć trochę powietrza. Dzieci było chyba z pięcioro, wszystkie w wieku około pięciu lat. Któregoś dnia przyszedł do baraku komendant policjantów, Minc z Radomia, z obwieszczeniem, że rodziny z dziećmi zostają przeniesione do innego obozu, gdzie są lepsze warunki dla dzieci.

Zaczęła się bieganina, rwetes, zamieszanie. Kto mógł, biegł zawiadomić rodziców, ktoś uspokajał dzieci. Ubieranie dzieci (była zima), pakowanie, wszystko miało być skończone w przeciągu kwadransa. Szybkie pożegnanie i dzieci z rodzicami wsiadają na ciężarówkę, przy wejściu do obozu.

Czekaliśmy jeszcze trochę i zaczęliśmy się rozchodzić do swoich miejsc pracy. Pracowałam wtedy w łaźni, za którą był odpowiedzialny Szajek Landau z Częstochowy. My, częstochowianie, trzymaliśmy się razem i pomagaliśmy sobie nawzajem. Po kilku minutach, jeszcze nim zdążyliśmy uprzytomnić sobie, co się stało, usłyszeliśmy zwielokrotniony odgłos strzałów. Już wiedzieliśmy. Zastanawialiśmy się tylko, czy rodzice też. Odpowiedź przyszła szybko – załamani rodzice wrócili do obozu, trzymając w rękach zawiniątka, które pakowali pół godziny wcześniej. Widziałam ich. Lipszyc i Cukierman z Tomaszowa, doktor Sawczyc i doktor Cytron z Białegostoku to kilka nazwisk, które pamiętam, nazwisk ludzi, którzy stracili tamtego dnia swoje dzieci.

***

W przeciągu półtora roku nawiązały się między nami związki, koleżeństwa, przyjaźnie. Po apelu siadywaliśmy między barakami i rozmawialiśmy o naszym „byłym" życiu, o szkole, książkach, filmach, które zdążyliśmy obejrzeć, o tym, jak spędzaliśmy wakacje, co lubiliśmy jeść, a czego nie. Rzadko mówiliśmy o przeszłości z „wczoraj i przedwczoraj". To było zbyt bolesne i ciągle jeszcze nieprawdopodobne. Wspomnienia o rodzicach i domu ciągle jeszcze załamywały nas i wywoływały ataki płaczu. Byliśmy i będziemy wiecznymi sierotami. Ale we wszystkim dominowała nienawiść do Niemców i niechęć pokazania słabości i bólu. Żyliśmy tylko tym, co było dzisiaj. Nie myśleliśmy, bo nie wiedzieliśmy, co będzie z nami jutro. Nie wiedzieliśmy też, jakie są losy wojny, ale około lipca 44 roku słyszeliśmy dalekie wybuchy i zrozumieliśmy, że coś się chyba dzieje.

Pierwsze wiadomości napłynęły z przybyciem grupy więźniów z Majdanka. Towarzyszył im oddział esesmanów w czarnych mundurach. Rozeszły się słuchy, że to Sonderkommando, a więc formacja, której nie było dotychczas w naszym obozie. Wiedzieliśmy, że nasz pobyt w Bliżynie zbliża się ku końcowi. Jakiemu? 20 czy 21 lipca rozkazano nam stanąć do porannego apelu z osobistymi rzeczami. Cały nasz dobytek zmieścił się w małym tobołku. Co bardziej zapobiegliwi postarali się o uszycie płóciennych woreczków w szwalniach obozowych.

Po przeliczeniu kazano nam przesuwać się w kierunku bramy obozu, tak jak staliśmy – osobno mężczyźni i osobno kobiety, piątkami. Niewielka liczba konwojentów i

nieobecność Ukraińców pozwalała mieć trochę nadziei. Kierują nas w stronę stacji kolejowej, na której stoją już wagony towarowe. Ze wszystkich sił staramy się utrzymać kontakt wzrokowy z moim bratem, zobaczyć, do jakiego wagonu wchodzi. On też stara się nie stracić nas z oczu. Już przedtem ustaliliśmy między sobą, że jeśli przeżyjemy wojnę, odszukamy się w Częstochowie.

Pociąg rusza. Nie wiemy, dokąd. Wagony przeznaczone do transportu. Na ścianach napis: 8 koni – 40 osób. Jest nas może nawet osiemdziesiąt osób. Wysoko pod sufitem dwa małe okienka po przeciwległych stronach wagonu. Na podłodze rozsypane wióry i suche badyle. Na najbliższym postoju czeka już około tysiąca ludzi. Upychają ich do wagonów, do naszego też. To ludzie z licznych obozów pracy z okolic Radomia, przede wszystkim z Wronek, gdzie znajdowała się fabryka broni. Są między nimi ludzie stosunkowo starzy – widocznie we Wronkach było zapotrzebowanie na robotników. Robi się jeszcze ciaśniej. Komu udało się załapać miejsce pod ścianą i naprzeciwko okienka – wygrał los.

Rozpoczyna się jazda, która trwa trzy noce i dwa dni. Na jednym z przystanków, kiedy pozwolono nam na krótko wyjść z wagonów, zauważyłam na wagonie duży napis: AUSCHWITZ. Odległość od Bliżyna wynosi około trzystu kilometrów.

Niewiele pamiętam z tej koszmarnej podróży, poza smrodem odchodów i krzykami sąsiadek tych, które nie mogły się wstrzymać. W środku nocy przybywamy do jakiejś stacji. Słyszymy otwieranie zaników i usuwanie sztab, którymi były zatarasowane drzwi wagonów. Osławieni kapo czekają na nas koło wagonów z wrzaskami: „raus, raus, verfluchte jude". Biją pejczami po głowach i plecach. Skupieni w olbrzymią gromadę, pod ciągłymi razami i z towarzyszeniem wrzasków rozglądamy się, ale ciemności nocy oszczędzają nam widoku szyn, osławionej rampy i drutów kolczastych, tak dobrze znanych światu z późniejszych relacji. Nie widzimy też kominów krematoriów, których świat też nie oglądał, bo to były pierwsze obiekty, które Niemcy zniszczyli, wycofując się. Ale i to, co dzieje się teraz, jest niemniej straszne. Wrzaski i razy, razy i wrzaski. Przejmujące zimno, głód i pragnienie.

Każą nam zostawić nasze rzeczy i rozebrać się do naga, zostawiając przy sobie tylko obuwie. Zabierają nam nasze rzeczy i przesuwając nas biciem w kolejce, rzucają nam koszulę i jakąś sukienczynę ze sterty odzieży, nie zwracając uwagi na nasz wzrost i wielkość szmaty, którą nam rzucają. Bez majtek i biustonoszy. Tylko koszula, która służyła nam jako ręcznik i suknia. W tym okresie w Birkenau i FKL-u pasiaki były luksusem i oznaczały pewien status. Pasiakami blokowe i kapo odcinały się od zwykłych więźniarek. My chodziłyśmy w szmatach, które odbierano transportom skierowanym do krematoriów, a które były zbyt liche, aby wysłać je ludności niemieckiej w Rzeszy. Zagoniono nas do baraku. Powoli barak zaczął się zapełniać kobietami z innych obozów, które tej nocy przywieziono. Ciasnota była straszna – na pryczach można było tylko siedzieć. Dla wielu z nas nie starczyło miejsca na pryczach, więc siedziałyśmy na podłodze.

Rano rozdzielono nas do poszczególnych bloków. Nam przypadł w udziale blok 22. Nam, to znaczy Hance, Dziuni i mnie. Dziunia, urodzona w Łodzi, przyjechała z Tomaszowa Mazowieckiego. Przyjechała tak jak Hanka i ja, ochotniczo, ze swoim mężem, Izakiem Fajnsilber, pierwszym transportem do Bliżyna. Zaprzyjaźniłyśmy się jeszcze w Bliżynie i starałyśmy się być razem w każdej sytuacji.

Przed blokiem apel, wielogodzinny jak zwykle, kilkakrotne liczenie szeregów ustawionych w piątki. Podchodzimy kolejno do stanowiska, gdzie siedzi funkcjonariuszka-więźniarka. Każą nam wyciągać lewą rękę i w mgnieniu oka mam wytatuowany na niej numer A-15352. I tak zostaję zapisana jako numer w B-II-B, co oznacza: drugie pole B w obozie Birkenau.

Na każdej z piętrowych prycz spało nas dwanaście. Po sześć w każdym kierunku. Każda szóstka miała do dyspozycji dwa wojskowe koce. Jeden służył jako podkład na deskach, a drugi do przykrycia się. Pozycję we śnie zmieniałyśmy wszystkie razem. Spałyśmy w tym, co miałyśmy na sobie. Byłyśmy w okresie kwarantanny i nie wypędzono nas do pracy. Dzień zaczynał się nad ranem apelem, na który wyganiano nas wrzaskiem i biciem. Apel trwał godzinami, czasami nawet 5 godzin. Drżałyśmy z zimna stojąc w szeregach po pięć i czekając na esesmanów, którzy mieli nas policzyć. Liczono nas wielokrotnie. Kiedy esesmanów nie było, a blokowa nie patrzyła, ogrzewałyśmy się, skupiając się tak jak stałyśmy. Co kilka minut zamieniałyśmy się miejscami, żeby każda mogła być przez kilka minut w środku. Zgodnie z niepisanym regulaminem apel miał się odbywać rano i wieczorem, ale często robiono go w nocy i to kilkakrotnie, tyle, że krócej.

„Regulamin" sprowadzał się do sadyzmu i męczenia nas na różne sposoby. W ciągu dnia baraki były zamknięte i nie miałyśmy prawa do nich wchodzić, więc siadywałyśmy na zewnątrz, na ziemi. Do baraku, gdzie mieściły się ubikacje, przekradałyśmy się. Nie mogłyśmy poruszać się środkiem drogi, która była przeznaczona dla Niemców, kapo i blokowych. Barak z ubikacjami służył mieszkańcom 30 bloków, więc nie można było pozostawać w nim zbyt długo. Inni też chcieli wejść.

Wzdłuż ścian baraków, naprzeciwko betonowych sedesów, umieszczone zostały krany z zimną wodą. Tam myłyśmy się, używając piasku zamiast mydła. Wycierałyśmy się jedyną koszulą, którą dostałyśmy na początku i którą suszyłyśmy na powietrzu. Podgórski klimat Oświęcimia charakteryzuje się zimnymi nocami i gorącymi dniami. Barak-latryna służył nam jako ochrona przed porannym chłodem do apelu i piekącym słońcem, w którym nie było cienia. Ale kapo i blokowe, co jakiś czas wyganiały nas, każda w zależności od ilości człowieczeństwa, jaka się w nich jeszcze zachowała. One też były kiedyś w naszej sytuacji i wiedziały, że aby przetrwać Oświęcim, potrzeba pewnej miary sadyzmu, zła, umiejętności znęcania się nad innymi ludźmi.

Na apelach musiałyśmy stać na odległość wyciągniętej przed siebie ręki, wyprostowane. W czasie liczenia spoglądali badawczo w każdą twarz. Czego szukali? Jakiego wyrazu twarzy, który mógłby usprawiedliwiać każdą karę?

Najgorszy był esesman nazwiskiem Perszel, były bokser. Potrafił bić więźniarkę do utraty przytomności, nie pozostawiając śladów. Miał zwyczaj obchodzenia szeregów od tyłu, żeby sprawdzić, czy któraś z nas nie usiadła na ziemi, nie mogąc ustać podczas długich godzin apelu. Biada tej, u której zauważył ślad kurzu na sukni.

Po apelu nie było wolno się rozchodzić. Czekaliśmy na posiłek. Kilka więźniarek pod strażą przynosiło z kuchni obozowej pojemnik z zupą i pokrojone porcje chleba. Osiemsetgramowy bochenek, podzielony na pięć porcji, jeden pojemnik zupy na pięć osób i jedna maleńka porcja margaryny dla każdej. Potem dostawałyśmy jeszcze kawę. Można nią było umyć ręce. Do picia się nie nadawała, bo – tak jak zupa – zawierała chemikalia, które powodowały zatrzymanie miesiączki. Zupę piłyśmy kolejno, łyk po łyku. Z czasem zdrapywałyśmy paznokciami kawałki drewna z desek baraku i taką „łyżką" wyławiałyśmy nieliczne kawałki kapusty czy brukwi, również po kolei. Zupę trzeba było zjeść natychmiast, bo oddawało się naczynie do kuchni. Swoim chlebem każda dysponowała „wedle woli". My w trójkę zadowalałyśmy się przede wszystkim zupą. Jedną porcję chleba zjadałyśmy w czasie obiadu, jedną do zupy na kolację, a trzecią chowałyśmy, aby za kilka uzbieranych porcji chleba z margaryną kupić od chłopaków z Sonderkommanda coś cieplejszego do ubrania i kawałek mydła. Ale niedługo można było się cieszyć „zdobyczami". Co jakiś czas zabierano nas do łaźni i znowu zostawało się tylko z własnym obuwiem. I trzeba było od nowa rozpoczynać zbieranie chleba.

Do łaźni szedł cały barak, kilkaset osób. Przed wejściem pod natrysk zdejmowałyśmy wszystko, co miałyśmy na sobie, zostawiając tylko obuwie. Kapo dawały każdej z nas kawałek mydła i wchodziłyśmy do pomieszczenia z natryskami. Krótki strumień zimnej wody, namydlenie się i znów trochę wody na opłukanie i ponaglane okrzykami wychodzimy mokre i nagie innym wyjściem. Tu oddajemy ten kawałek mydła, dostajemy koszulę i jakąś suknię ze stosu przyniesionego z rampy przez Sonderkommando. Nosiłyśmy rzeczy pozostawione przez poprzednie transporty.

Utrzymanie czystości było koniecznością, jeśli chciało się przeżyć obóz. Głód, wspólne spanie, jedzenie z tego samego garnka, ułatwiały rozprzestrzenianie się chorób. Zgłoszenie się do lazaretu równało się wyrokowi śmierci. Co jakiś czas Niemcy robili apele zdrowia – „Gesundheitapel". Cały barak przechodził nago przed grupą esesmanów. Najmniejszy wyprysk skórny, kaszel czy zły wygląd powodowały usunięcie z szeregu i wiadomy koniec. Przy wszystkich tych ceremoniach asystowały kapo i blokowe. Zatem kawałek mydła, kupiony za cenę kolacji, był wart „kawałka" życia. Myłyśmy się, codziennie w zimnej wodzie, we wspólnych umywalniach, które były umieszczone naprzeciw betonowych sedesów. Drogocennego mydła używałyśmy do twarzy i ciała. Nogi szorowałyśmy piaskiem.

Nasze pole, II-B, znajdowało się między polem A, do którego przewożono Polaków, a oddalonym nieco polem Cyganów. Na polach C i D znajdowali się mężczyźni.

Cyganów przewożono z całymi licznymi rodzinami. Co jakiś czas opróżniały się ich baraki i po krótkim czasie zaczynały dymić kominy krematoriów. Nie mieliśmy najmniejszych złudzeń, że to będzie i nasz los. Wszystko pozostawało kwestią czasu.

W ciągu sierpnia i z początkiem września ciągle przychodziły pociągi z transportami na rampę. Dochodziły nas czasami wieści, skąd. Kilka transportów nie dotarło w ogóle do baraków. Tak było z licznymi transportami w drugiej połowie sierpnia. Przez wiele dni nad obozem snuł się czarny dym i swąd spalonego mięsa. Był to koniec łódzkiego getta.

Na początku września zwiększyła się znacznie liczba więźniarek na polu „A". Z urywków krótkich zdań, rzucanych przez druty, dowiedzieliśmy się o powstaniu w Warszawie i jego losach. Na nasze pole przybyły w tym czasie tylko dwa transporty: węgierskich i włoskich Żydówek. Węgierki starałyśmy się podtrzymać na duchu, porozumiewając się z nimi w języku żydowskim, ale Włoszki, na wysokich obcasach, z lakierowanymi paznokciami i z ogolonymi głowami, były zupełnie zagubione. Nieprzyzwyczajone do głodu, napadały na kotły z jedzeniem i, czym mogły, wyciągały trochę, żeby natychmiast zjeść. Blokowe odwracały głowy, ale jeśli zauważył esesman, nie puszczał tego płazem.

Stałyśmy na apelu, kiedy Niemiec złapał jedną z tych „Happkommando", jak je nazywałyśmy. Trzymał ją jedną ręką, a drugą bił bezlitośnie kijem. Biedaczka kręciła się dookoła niego, starając się uniknąć razów, ale to nie pomogło i kiedy upadła, nie podniosła się więcej. Druga, za to samo przewinienie, klęczała na placu apelowym przez kilka godzin, na usypanym specjalnie w tym celu żwirze. Nie widziałyśmy jej więcej w baraku.

W tym czasie Niemcy zupełnie się zezwierzęcili. Wyczuwało się, że tracą coś ze swojego spokoju. Kary spadały na nas za najdrobniejsze przewinienia.

My też zaczęliśmy słyszeć w nocy dalekie odgłosy wystrzałów karabinowych i, początkowo odległy, a po kilku dniach bliższy, odgłos wystrzałów armatnich. Oceniłyśmy, że wojna podeszła pod Kraków. A więc tuż, tuż.

W ciągu dnia ogłaszano alarm i zamykano nas na długie godziny w baraku. Apele, a więc i posiłki, stały się nieregularne. Byłyśmy zamknięte w dusznym, rozgrzanym baraku, głodne i spragnione. Czekałyśmy z nowo rozbudzoną nadzieją: niech przyjdą, niech rozwalą, niech zbombardują nas, ale też ich.

Pod koniec października 44 roku dało się odczuć, że w obozie dzieje się coś niezwykłego. Sąsiednie pola zaczęły się powoli opróżniać. Szeregi więźniów ustawionych w piątki opuszczały obóz. Nikt nie wiedział, dokąd szli, ale nie dymiły kominy krematoriów.

Na początku listopada 44 roku, na porannym apelu, oznajmiono nam, że zostajemy przeniesieni do innego obozu, natychmiast po przeliczeniu. Nie wolno nam już było wchodzić do baraku, gdzie zostawiłyśmy kilka porcji chleba i kawałek mydła. Tak jak stałyśmy, ustawione w piątki, ruszyłyśmy w kierunku głównej bramy. Ze sobą miałyśmy

porcję chleba z margaryną ze śniadania. Między pustymi barakami przez rampę, droga krótka i oto jesteśmy w nowym obozie o ponurych, niskich betonowych budynkach, które mogłyśmy widzieć przez druty. F.K.L. – Frauenkonzentrationlager.

Rozdzielono nas do bloków przy pomocy pałek, pięści i wyzwisk. Prycze zbudowane z betonu, dwie kondygnacje, ale tak niskie, że nie można na nich nawet siedzieć wyprostowanym, tylko leżeć. Tutaj przekonałyśmy się, że dotychczas nie miałyśmy pojęcia, co to jest obóz koncentracyjny. Bestialstwo i sadyzm blokowych i kapo nie miały sobie równych. Traktując nas jak najgorzej, chciały pokazać Niemcom, że przynajmniej na tym polu można na nich polegać. W B-II-B poddali nas kwarantannie. W FKL-u musiałyśmy pracować.

Natychmiast po apelu prowadzono nas, setki kobiet ustawione w piątki, kilka kilometrów do pracy. Nasza praca polegała na wydobywaniu gołymi rękami kamieni z brzegu rzeki i przenoszeniu ich w odległe miejsce. Pchałyśmy taczki załadowane ciężkim, mokrym, rzecznym piaskiem z jednego miejsca na drugie, aby nazajutrz wykonać tę samą pracę, tylko w odwrotną stronę.

Rozpoczął się okres deszczów listopadowych i cały obóz, podobnie jak okoliczne drogi, zmienił się w grząską maź. Buty rozmiękły i rwały się, więc po obozie chodziłyśmy boso, aby zachować suche buty do długich marszy. Wychodziłyśmy i wracałyśmy z pracy eskortowane przez uzbrojonych esesmanów i psy, atakujące każdą, która wysunęła się z szeregu lub zwolniła tempo. Jeżeli któraś z nas poślizgnęła się na nierównej, śliskiej drodze, dostawała baty, szczuto na nią psa i zostawała w przemoczonym ubraniu do wieczora. Jeśli zdarzyło się to nad rzeką, wrzucano ją do wody, żeby się opłukała.

Wieczorem, wracając do obozu, silniejsze dziewczyny podtrzymywały te słabsze. Potknięcie się i upadek w ciemności równały się śmierci. W obozie, między blokami, na oświetlonym placu, dwugodzinny apel, kromka chleba i rzadka zupka. W bloku, wyczyszczonym i zamkniętym przez cały dzień, rozpoczyna się walka o miejsce przy piecu, aby się rozgrzać i wysuszyć części ubrania, przede wszystkim skarpety.

Tutaj, w FKL-u, straciłyśmy siłę do walki o przetrwanie. Przemęczone do ostatnich granic, głodne, w wiecznym poniżeniu, bite, wyzywane, chore, patrzyłyśmy z tylnych szeregów, czy może nareszcie pierwsze szeregi skręcają do krematorium zamiast przed siebie, prowadząc nas do „pracy".

Wieczorny powrót do obozu był najgorszy. Przed nami noc, zimna, wilgotna, na betonowych pryczach, w tym samym ubraniu, w którym chodziłyśmy przez cały dzień. Minął dzień bez zmiany czy nadziei na zmianę i nadchodziła równie zła noc.

W nocy ustawiano przed blokami beczki, które miały służyć nam jako ubikacje. Kiedy beczki były pełne, dwie, a czasem cztery dziewczyny odnosiły je do zlewiska. Czy trzeba opowiadać, co się działo, jeśli – wygłodniałe i osłabione – nie mogły udźwignąć tego ciężaru i przewracały się na mokrej drodze?

Pamiętam jeden szczególny apel wieczorny. W powrotnej drodze do domu ciągnęłyśmy między sobą Andzię Ajzenberg z Tomaszowa, która przyjechała do Bliżyna z mężem, w pierwszym transporcie, z nami. Krwawiła z rozbitego nosa. Pobiła ją kapo, bo jasne, obfite włosy Andzi wymykały się ciągle spod chustki, która powinna je szczelnie zakrywać.

Stałyśmy na apelu w siąpiącym deszczu. Palce wyłażące z przegniłych pantofli dotykały mokrej, zimnej ziemi. Od pewnego czasu nie słyszałyśmy już tych dalekich wystrzałów armatnich, które dodawały nam otuchy. Pod daszkiem, ukryta przed deszczem i wiatrem, stała plejada Panów tego świata, esesmanów, kapo i blokowych, ciepło odziana i syta, i rzucała w naszą stronę wyzwiska. Czekaliśmy na wyższych oficerów, którzy liczyli nas ponownie i kończyli apel. Ale ich przybycie odwlekało się jakoś.

Nagle jedna z dziewcząt zaczęła głośno płakać. W tym momencie poczułyśmy, że nie mamy już sił, aby nadal trzymać fason. W końcu byłyśmy gromadą dwudziestokilkuletnich dziewczyn, które spotkało wszystko, co najgorsze może spotkać człowieka. Płacz ogarnął wszystkich, rozprzestrzenił się jak ogień w suchym lesie. Płakałyśmy cicho na oczach naszych katów, czując, że zabierają nam resztki naszej dumy i poczucia człowieczeństwa. Nie myślałyśmy, jakie kary mogą nas spotkać za takie wyłamanie się z rygoru. Niemcy i kapo śmiali się patrząc na nas, ale – o dziwo – nie zastosowali żadnej kary fizycznej. A my, po raz pierwszy, stałyśmy przed nimi, nie bojąc się konsekwencji naszego postępku, nie bojąc się o naszą zranioną dumę, nie bojąc się ICH. Naszych panów. I właśnie świadomość, że zrobiłyśmy coś, co miałyśmy potrzebę zrobić, nie bojąc się konsekwencji, pokrzepiła nas i podniosła na duchu.

I tak mijały tygodnie. O świcie: apel, kromka chleba i kawa, wymarsz do pracy, bez względu na pogodę. Powrót pod wieczór, zupa, którą jadłyśmy znów bez łyżek, ale za to w pojedynczym naczyniu, które trzeba było wymyć po sobie. Wejście do mrocznego i zimnego baraku, próba przedostania się do ognia, na sygnał gwizdka sadowienie się na pryczach i gaszenie świateł.

Mimo, że nie słyszałyśmy już zbliżającego się frontu, w obozie coś się zmieniło. Apele zrobiły się krótsze. Nagle dostawałyśmy więcej zupy, a po rozdaniu zostawało w kotłach i można było prosić o repetę.

W tym czasie zdarzył mi się dziwny wypadek. W krótkiej godzinie między apelem a wejściem do baraku, ktoś zawołał mnie po imieniu. Odwróciłam się i ze zdziwieniem patrzyłam na obcą twarz. Po krótkiej rozmowie okazało się, że była to siostra dziewczyny, która pracowała jako krawcowa u Hanki Hauptman, naszej sąsiadki z naprzeciwka. Przychodziła czasem do siostry. Zauważyła mnie wtedy i zapamiętała.

Ona również została sama z całej, licznej rodziny. W Oświęcimiu pracowała w kuchni dla blokowych. Zaczęłyśmy wymieniać wspomnienia, ale łez już nam zabrakło. Zosia wróciła do kuchni i przyniosła nam garnek gęstej, pysznej zupy, w której były nawet kawałki mięsa. Mięsa nie widziałyśmy od roku. Powiedziała nam, żebyśmy przyszły jutro

o tej samej porze. Mimo, że wszyscy więźniowie mieli teraz więcej jedzenia, Zosia narażała się, wynosząc nam jedzenie nie dla nas przeznaczone. Jednocześnie zapoznała nas z sytuacją. Codziennie odchodzą duże transporty więźniów do Niemiec, a Oświęcim zostanie zlikwidowany. Radziła nam starać się dostać do jakiegokolwiek transportu, bo front się zbliża i nie wiadomo, co zrobią Niemcy w ostatniej chwili.

Następnego wieczoru, po apelu, poszłyśmy z Hanką i Dziunią na umówione miejsce i znów dostałyśmy trzy porcje pożywnej gorącej zupy, w dodatku z łyżkami. Zosia podarowała każdej z nas jakiś szczegół ciepłego ubrania, a mnie w dodatku parę sportowych butów na kauczukowej podeszwie. Widok moich palców, wyłażących z przeżartych błotem pantofli, nie uszedł jej uwadze. Jeszcze jednego wieczoru skorzystałyśmy ze wspaniałości uprzywilejowanej kuchni i jeszcze zdążyłam podziękować gorąco Zosi za wszystko, co dla nas zrobiła.

Tego wieczoru nie było w obozie kolacji, na skutek jakichś komplikacji transportowych, więc późnym wieczorem dano nam do picia zimne, surowe mleko. Kto potrafi odmówić wypicia kubka mleka, nawet, jeśli nie jest bardzo głodny? Ten smak mogliśmy czuć tylko w snach.

W nocy rozchorowałam się. Miałam gorączkę i biegunkę, i wiedziałam, że nie przetrzymam kilkukilometrowego marszu i dziesięciu godzin ciężkiej pracy. Powiedziałam Hance, że zgłaszam się do lazaretu. Obydwie z Dziunią błagały mnie, żebym tego nie robiła. Zapewniały, że pomogą mi w drodze i w pracy. Ale ja czułam, że nie zniosę nawet stu metrów marszu, wrzasków esesmanów i wściekłego ujadania psów. Powiedziałam im, że nie zależy mi, w jaki sposób umrę – czy w komorze gazowej, dokąd co kilka dni kierowano „pacjentów", co zresztą wolę, – czy zastrzelona na ich oczach.

Pożegnałam się z nimi i stanęłam w grupie chorych (każde rozstanie mogło być ostatnie). Odprawa do lazaretu i grup do pracy przeciągała się, bo z każdego bloku dochodzili ciągle nowi chorzy. Nasza grupa była otoczona esesmanami. Obojętnie przysłuchiwałam się ich głosom, kiedy nagle wpadł mi w ucho zwrot: zweihundert und funfzig – dwieście pięćdziesiąt. Nie miałam wątpliwości, że mowa o dwustu pięćdziesięciu piątkach. Tylko, dokąd? Przecisnęłam się do Hanki i Dziuni i poprosiłam, żeby postarały się przesunąć bliżej grupy chorych, bo prawdopodobnie mowa o transporcie. Wróciłam na swoje miejsce w szeregu i z niepokojem spoglądałam do tyłu. Widziałam, że starają się przesunąć do przodu, co wcale nie było łatwe.

Dostajemy rozkaz wymarszu. Grupa chorych na przedzie. Kilku esesmanów w bramie odlicza piątki. W ostatniej „piątce" były tylko trzy dziewczyny. Zniecierpliwiony esesman szarpnął dwie z brzegu z następnej piątki i dołączył do nas. Była to Hanka i Rykla z Bliżyna, którą słabo znałyśmy. Dziunia została.

Dostałyśmy się na transport, ale niestety tylko dwie. Zamknięto nas w jakimś baraku i zaczęto przygotowywać do transportu. Od tej chwili nie zostawałyśmy ani na chwilę bez eskorty. Dano nam jakieś bardziej ludzkie rzeczy do ubrania i grube palta, które

na plecach miały wymalowany czerwoną olejną farbą krzyż na całą długość i szerokość, a między ramionami krzyża równie wielkimi literami K. L.

Byłyśmy uradowane, ale i smutne. My wyjeżdżamy w końcu z tego piekła, co prawda nie wiadomo, dokąd, ale opuszczamy przedsionek śmierci. Niestety zostawiamy bliskie nam osoby, z którymi dzieliłyśmy się jedną suchą kromką chleba, każdym łykiem zupy i jednym kocem na sześć osób, na kamiennej pryczy.

Wszystkie one stały pod oknami baraku. Żegnałyśmy się spojrzeniami i uśmiechami przez łzy. Po apelu udzielały nam jeszcze dobrych rad i starały się przemycić poprzez strażniczki drobiazgi, o których wiedziały, że mogą nam być w drodze lub na miejscu potrzebne. Dziewczyna z Piotrkowa, Pola, z którą zaprzyjaźniłam się gorąco ze względu na fakt, że moja mama i babcia urodziły się w Piotrkowie, a także dlatego, że jej rodzice, podobnie jak moi, należeli przed wojną do „Bundu" – przerzuciła mi przez druty piękny sweter w mojej ulubionej chabrowej barwie. Sweter, który nawiasem mówiąc, zrobił potem „trochę historii".

Zosi nie spotkałam już więcej. Nie wiem, co się z nią stało. Dziunia trafiła do Ravensbrück. Po wyzwoleniu odnalazła się tam ze swoim mężem. Moja bratowa otrzymała wiadomość, że Szmulek jest w Niemczech i pojechała do niego. Minęli się po drodze, bo on przyjechał do Częstochowy, żeby nas odszukać. Ja zostałam w Częstochowie. Do 48 roku utrzymywaliśmy częsty i żywy kontakt listowny z nimi i z Dziunią. Mój brat z żoną i dwuletnią córeczką przyjechali do Izraela w 50 roku. Od tego czasu kontakt listowny z Dziunią urwał się zupełnie – mój i ich. Nie mogłam zrozumieć, jak – już po wojnie – dwie zaprzyjaźnione rodziny, mieszkające w jednym kraju mogą tak zupełnie stracić się z oczu. Często robiłam im wyrzuty z tego powodu.

Dopiero w latach 70, przypadkowo, przez moją szkolną koleżankę, która mieszkała w Stanach, dowiedziałyśmy się o sobie. Rozpoczęła się żywa korespondencja i Dziunia z mężem odwiedziła mnie w Izraelu. Spotkanie było bardzo serdeczne, ale niestety odległość geograficzna i życiowe problemy, z którymi każda z nas się borykała, oddaliły nas znowu.

Po dwóch dniach od tamtego apelu załadowano nas, wraz z dziesiątkami tysięcy osób, znów do bydlęcych wagonów, zwykłym systemem: biciem, wrzaskami, popychaniem, oczywiście w nocy, bez żadnych świateł. I jeszcze jedno liczenie, w wagonach, zasuwanie drzwi, plombowanie od zewnątrz i koła toczą się naprzód. Patrzymy po sobie w świetle lamp oświetlających tory i nie wierzymy własnemu szczęściu: żywi opuszczamy Oświęcim.

PO OŚWIĘCIMIU

W połowie listopada 44 roku załadowano nas na wagony, które wywiozły nas z Oświęcimia. Zaopatrzono każdą z nas w dwie porcje chleba, pończochy, których nie

miałyśmy, czym zapiąć, więc ciągle się zsuwały, chustkę, którą miałyśmy szczelnie obwiązać głowę (naszemu transportowi nie ogolono głów w Oświęcimiu, ponieważ przywieziono nas z obozu pracy, w którym odbywało się regularne odwszawianie). No i długie czarne palto z wymalowanym na plecach czarnym krzyżem i literami K.L, żeby można było nas rozpoznać, jeśli którejś przyjdzie ochota uciekać.

Wyruszyłyśmy w godzinach popołudniowych. W listopadzie szybko zapada noc. Jechałyśmy przez całą noc i cały następny dzień. Nie wiedziałyśmy, dokąd. W świetle dnia, przez małe okienka umieszczone pod sufitem, mogłyśmy odczytać nazwy mijanych stacji: REICHENBUCH, WALDENBERG (aż trzy dworce kolejowe). A więc jesteśmy w Reichu. Późnym wieczorem minęłyśmy jeszcze silnie oświetloną stację SCHARFENSTEIN i po jakimś czasie pociąg zatrzymał się na małej stacyjce WILISCHTHAL. Schodzimy z wagonów pod ciężką eskortą. Prowadzą nas słabo oświetloną drogą. Zatracamy poczucie miejsca i czasu. W końcu rozkaz: HALT.

W świetle księżyca widzimy, że znajdujemy się na dużym placu otoczonym górami. Przed nami rząd budynków przypominających olbrzymie baraki. Z prawej strony, w niewielkiej odległości, zabudowania fabryczne z charakterystycznym ceglanym kominem. Wchodzimy do budynku, który wewnątrz podzielony jest na trzy duże sale, rozdzielone dwiema „łazienkami" (sedesy i krany, kilka blaszanych misek i żadnych drzwi). W pomieszczeniu mieszkalnym są trzypiętrowe, pojedyncze prycze, siennik, poduszeczka ze słomą i dwa wojskowe koce. Jeden jako prześcieradło, a jeden do przykrycia się. Normalna walka o miejsce, a zwłaszcza o bliskość bliskich osób i kładziemy się spać, zdejmując tylko buty i wierzchnie odzienie. O dziwo, śpimy dobrze, do 5-tej, kiedy budzą nas na apel. Jest nas 300 kobiet, Żydówek z różnych krajów Europy.

Około 5-tej zwykły wrzask kilku esesmanek: aufstehen, heraus! Wstawać i wychodzić. Ubieramy się szybko i wychodzimy na plac. Znajdujemy się w jakieś dolince otoczonej górami. Na niektórych widać ślady śniegu. Pojedyncze mieszkalne domki na stokach, a w głębi duży budynek fabryczny. Mimo wczesnej godziny praca wre. Przydzielają każdą z nas do jednej maszyny i objaśniają, jak należy ją obsługiwać, co robić i jak mierzyć zdjętą z maszyny część. Praca automatyczna. Wymagała tylko uwagi, koncentracji i ostrożności. Dość szybko doszłyśmy do wprawy. Były to skrawarki, tokarki i frezerki, które wykańczały części karabinów. Przed zapoznaniem nas z fabryką był oczywiście apel z wielokrotnym liczeniem i przemówieniem, że pracujemy dla Rzeszy i że każda próba sabotażu będzie karana śmiercią. Sabotaż to również lenistwo i nienadążanie za cyklem pracy.

Śniadanie, które przyniesiono nam z pobliskiej kuchni, składało się z dwustu gramów chleba, kawałka margaryny i gorzkiej kawy. Obiad miałyśmy dostać w budynku mieszkalnym po skończonej zmianie (dwunastogodzinnej). Margarynę rozsmarowywałyśmy palcami na chlebie i zjadałyśmy naszą całą porcję od razu.

Pójście do ubikacji należało zgłaszać esesmance, która zapisywała czas pobytu w toalecie i liczbę zgłoszeń każdej z nas. Tak jak w Oświęcimiu, miałyśmy przypięte numery.

Na obiad była zawsze zupa z kaszy i ziemniaków, z pływającymi skrawkami mięsa. Szczęściem było dostać chochlę zupy od spodu, ale to zależało od humoru kapo i jej wyraźnych preferencji. Wieczorem – porcja chleba jak na śniadanie i byłyśmy wolne w zamkniętym baraku aż do gaszenia świateł o 22.00.

Tego pierwszego wieczoru, po apelu, dostałyśmy po kawałku mydła i coś, co od biedy można było uważać za ręcznik. Zrozumiałyśmy, że zostałyśmy podniesione do rangi robotników przymusowych, co prawda niepłatnych, ale przynoszących korzyść koncernowi zbrojeniowemu Niemiec.

Czas upływał jednostajnie. Siedem dni pracy w tygodniu, dwie zmiany po 12 godzin. Strażniczki miały do nas stosunek obojętny. Nie biły nas, ale poza wydawanymi wrzaskiem rozkazami, byłyśmy dla nich mniej niż powietrzem. Poza drobnymi złośliwościami przy rozdawaniu zupy lub poniżaniem, kiedy przynoszono nam czasem do fabryki specjalny dodatek w postaci kawałków brukwi. Strażniczka, widząc, że ustawiamy się w kolejce, może niezbyt uporządkowanej, oddaliła się z kotłem od kolejki rozrzucając brukiew po podłodze, daleko od siebie, aby zmusić nas do biegania za „smakołykiem". W takiej sytuacji, pomimo głodu, wiele z nas rezygnowało z podniesienia brukwi. Po prostu dla siebie, żeby zachować resztkę godności i żeby nie dać Niemcom satysfakcji.

Zachowanie majstrów i brygadzistów było zupełnie inne. Przede wszystkim – profesjonalne. Cierpliwie tłumaczyli, jak obsługiwać poszczególne maszyny i szybko orientowali się, która z nas, do jakiej pracy się nadaje. Brak nienawiści w oczach, półuśmiech, kilka słów wypowiedzianych cicho – to wszystko, na co mogli sobie pozwolić przy stałej obserwacji aufzejerek. Jeden z majstrów, dużo starszy od innych, ukradkiem wsuwał kawałek chleba do kieszeni dziewczyny, która stale z nim pracowała. Pracowałam niedaleko i zaskoczona, a jednocześnie rozbawiona, patrzyłam, jak manewrował, niby kieszonkowiec, ze wzrokiem utkwionym w przestrzeni i z obojętnym wyrazem twarzy. Dziewczyna, której pomagał znieść głód, była najmłodsza między nami. Nie mogła znajdować się w tym czasie w pobliżu, a jej sweter wisiał na krześle.

Jak już wspomniałam, przy wyjeździe z Oświęcimia zaopatrzono nas w pończochy, ale bez podwiązek. Zakręcałyśmy je nad kolanem w supełek. Poganiana razem ze wszystkimi do pociągu, upadłam i pończochy podarły mi się zupełnie. W górzystym terenie Wilischthal było już bardzo zimno i tu przyszedł mi z pomocą zapasowy sweter, przemycony przez Polę. Zaraz pierwszej nocy odprułyśmy z Hanką rękawy i na pierwszym porannym apelu miałam na nogach piękne wełniane pończochy w kolorze chabrowym. Aufzejerki patrzyły podejrzliwie, ale mogły myśleć, że zostałam tak zaopatrzona w Oświęcimiu. Musiałam szczególnie uważać, żeby nie podpaść, bo w każdej sytuacji byłam bardziej widoczna. Ale i tak podpadłam. Hanka, moja bratowa, została wybrana, wraz z

dwiema innymi, do pracy w kuchni. Od czasu do czasu mogła przemycić do baraku dwa albo trzy ziemniaki w łupinach. Ale w obozie nikt nie zjada sam takich darów bożych.

Zastanawiałam się, jak podzielić się tymi ziemniakami z dwiema koleżankami. W złomie fabrycznym wyszukałam wąski kawałek blachy długości około dziesięciu centymetrów i szerokości jednego centymetra, i zaczęłam ostrzyć na szlifierce jeden z brzegów. Na tym złapała mnie aufzejerka Hilda, ta najzłośliwsza (która rozrzucała po podłodze fabrycznej kawałki brukwi i odsyłała do kuchni kotły z pozostałościami zupy, żeby nie dawać nam repety). Wieczorem, po apelu, zawezwano mnie do Lageraltese na sąd i po postawieniu zarzutu, że przygotowywałam broń, za karę ogolono mi głowę na zero. Miałam jeszcze czelność powiedzieć dowcipnie, że jeśli zostanie głowa, będą i włosy. Hanka i moje koleżanki przeżywały ten fakt boleśniej niż ja.

Na przełomie lutego i marca 45 roku rozpoczęły się naloty na tę część Niemiec. Na początku naloty i bombardowania odbywały się w nocy. Jeśli pracowałyśmy wtedy na nocnej zmianie, Niemcy zamykali nas od zewnątrz w baraku, a sami szli do schronu. Okna baraku były zakratowane i nie miałyśmy żadnej możliwości uratowania się w wypadku wybuchu czy pożaru. Bombardowania nie przerywały rutyny dziennej, dwunastogodzinnej pracy. Bezsenne noce i mordercza praca w ciągu dnia powodowały, że z trudem trzymałyśmy się na nogach. Zasypiałyśmy mimowolnie przy każdej okazji. Przy maszynie, czekając na liczenie na apelu, opierając głowę na kilka sekund na ramieniu czy plecach koleżanek.

Pewnej nocy, odnosząc do majstra obrobiony przedmiot, ocknęłam się nagle w innej części fabryki. Przebyłam kilkanaście kroków, nie mając świadomości, że chodzę. Aby nie zasnąć przy pracującej maszynie, siadałam w ten sposób, aby rączka maszyny, obracając się w cyklu obróbki, dotykała moich pleców. Widocznie jednak zasnęłam, bo nagle znalazłam się bez chustki, którą miałam szczelnie obwiązaną głowę, a korbka maszyny już owijała się dookoła mojej sukni. Ktoś szybko zatrzymał maszynę, a ja pomyślałam tylko, co by się stało, gdybym nie miała ogolonej głowy.

Któregoś dnia, po nieprzespanej nocy, byłam tak straszliwie zmęczona, że pomyślałam sobie, jak dobrze by było, gdyby stało mi się coś, co przerwałoby ten morderczy cykl pracy i bezsenności. Nie zdążyłam dokończyć tej myśli, kiedy mój kciuk znalazł się do połowy pod nożem tokarki. Opatrzono mnie i dostałam wolne do końca dnia. Ale bliznę mam do dzisiaj.

Naloty były prawie bezustanne, a górskie echo potęgowało odgłosy wybuchających bomb. W fabryce Niemcy mówili już wyraźnie, że front amerykański jest tuż, tuż i wyczuwało się ich niepokój.

Pewnego dnia, po porannym apelu, oznajmiono nam, że zostajemy przeniesione do innego obozu. Nie weszłyśmy już do bloku. I tak nie miałyśmy już nic swojego do zabrania. Za to wyniesiono na płac apelowy cały zapas chleba, jaki znajdował się w magazynie. Całe bochny. Jak zwykle zaczęło się porywanie chleba – kto szybszy, kto

mocniejszy brał po dwa, trzy bochenki. O dziwo, aufzejerki już nie reagowały. Kiedy uciszył się pierwszy rejwach i stanęłyśmy w piątki, aby czekać na konwój, który miał nas zaprowadzić do pociągu, same podzieliłyśmy między siebie chleb jako tako sprawiedliwie. Żadna nie została z pustymi rękami, gdy inne miały po kilka bochenków. Co charakterystyczne, taka wspólnota istniała tylko między kobietami pochodzącymi z tego samego kraju.

Załadowano nas do bydlęcych wagonów, zamknięto od zewnątrz i od razu pociąg ruszył. Znów nie wiedziałyśmy, dokąd nas wiozą, jak długo potrwa podróż i jaki jest jej ostateczny cel. Posuwaliśmy się wolno, z długimi przystankami. Raz dziennie pozwalano nam wyjść z wagonów dla załatwienia potrzeb naturalnych i dawano nam porcję wody do picia. Za pożywienie służył nam chleb, który zdobyłyśmy w obozie. Godzinami stałyśmy na bocznych torach, aby dać pierwszeństwo innym pociągom. Przez cały czas towarzyszyły nam wybuchy bomb, bliższe lub dalsze. Powoli zatracałyśmy poczucie czasu. Już przestałyśmy liczyć dni od naszego wyjazdu z Wilischthal. Żyłyśmy tylko jedną myślą, że to upragnione i nieprawdopodobne nareszcie się zbliża: koniec Niemiec.

Chleb powoli się kończył. Niemcy wydawali nam codziennie po kilka łyżeczek cukru na cały dzień i kawałek brukwi czy kalarepy.

Pewnego dnia, gdy Niemcy byli pewni, że czeka nas wiele godzin postoju, pozwolono nam wyjść z wagonów. Rozkazano nam pozostać w jednym miejscu i skupić się w gromadę. Był piękny wiosenny dzień. Znajdowaliśmy się w szczerym polu. Po kilku dniach zamknięcia w wagonach mogłyśmy oddychać czystym powietrzem. Rozglądałam się dookoła. Daleko przed nami była rzeka, a za nią na horyzoncie rozległe, olbrzymie miasto. I na to miasto spadał nieprzerwanie deszcz bomb z samolotów. Widziałyśmy smużki lotu bomb, słyszałyśmy huk wybuchu i w sekundę potem słup dymu i ognia. Siedziałam na skraju grupy i od czasu do czasu łapałam kilka słów niemieckich. Niemcy już nie liczyli się z nami i można było podchwycić, o czym rozmawiali. W szybkich zdaniach powtarzało się kilkakrotnie słowo: Dresden. A więc to było Drezno. Mój Boże, danym mi było widzieć, jak jakakolwiek armia zrównuje Drezno z ziemią!

Po 10 dniach jazdy i postojów zatrzymaliśmy się na dużej stacji kolejowej. Duży zegar na dworcu wskazywał datę 24 kwietnia. Ustawione, jak zwykle w piątki, przekroczyłyśmy jakąś wielką bramę, ale zaraz po tym wąskie ulice zmusiły nas do posuwania się w rozsypce, oczywiście pod czujnym okiem esesmanów. Na chodnikach stali ludzie, którzy spoglądali na nas i płakali. Byłam pewna, że prowadzono nas do gazu, bo co innego mogło spowodować taki płacz i oznaki sympatii ze strony tych obcych ludzi? W pewnej chwili, kiedy uwaga Niemców nie była skupiona na nas, jedna z kobiet krzyknęła w przestrzeń, że jesteśmy w getcie Terezin w Czechosłowacji.

Wprowadzono nas do olbrzymiego budynku i kazano rozlokować się w pokojach. Dowiedziałyśmy się później, że były to koszary wojskowe. Pokoje były duże, w każdym mieściło się kilka łóżek, stół i kilka krzeseł. Łazienki i ubikacje znajdowały się na końcu

długiego korytarza. Postanowiłyśmy pozostać razem – wszystkie, które byłyśmy blisko jeszcze z czasów pierwszego obozu w Bliżynie. Ulokowałyśmy się w dwóch przylegających pokojach. W jednym było nas 29, w drugim 31.

Podobno Terezin (Theresienstadt) znalazł się pod opieką Czerwonego Krzyża, co nie przeszkadzało Niemcom wysyłać stamtąd transportów do Oświęcimia i innych obozów. Byłyśmy zamknięte, ale nie wiedziałyśmy, co wolno, a czego nie. Siedziałyśmy w pokoju, wyglądając od czasu do czasu na korytarz, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Podzieliłyśmy między siebie miejsca do spania i obowiązki związane z utrzymywaniem porządku. Wieczorem dostałyśmy pierwszy gotowany posiłek od 10 dni. Pełne kotły gęstego kleiku z kaszy, a do tego porcję chleba, margaryny, dżemu i... puszkę konserw mięsnych. I tu zaczęły się problemy. Nie wszystkie potrafiły rozsądnie jeść po kilku latach głodu i dziesięciu dniach głodówki. Trudno było, rzeczywiście, pozostać obojętnym wobec takich ilości jedzenia. Wielu kobietom dokuczały wkrótce potem biegunki, bóle brzucha i skurcze. Żydowskie ekipy sanitarne przez całą noc udzielały pomocy potrzebującym. W Terezinie nie widziałyśmy służb esesmanów czy kapo. Wszystkie czynności administracyjne wykonywali cywile, prawdopodobnie Czesi. Tylko policja żydowska, jak w innych obozach (poza koncentracyjnymi), pilnowała porządku umundurowana, w czapkach z czerwonymi otokami.

Gdyby załoga Terezina znała warunki w obozach koncentracyjnych i historię naszej jazdy, kiedy przez dziesięć dni żyłyśmy na małym bochenku chleba i kilku łyżeczkach cukru, karmiłaby nas rozsądniej.

Po dwóch dniach odkryłyśmy, że w obrębie getta możemy poruszać się swobodnie w ramach godziny policyjnej. Ulice wypełniali więźniowie ze wszystkich obozów, które Niemcy zdążyli ewakuować. Ich stan był straszny. W podartych ubraniach albo pasiakach, w podartych butach lub boso. Siedzieli albo leżeli na chodnikach i jezdniach, czekając aż władze getta zajmą się nimi. Znajdowało się tam też kilkaset osób z Buchenwaldu, wśród których rozpoznałam kolegę z pierwszej grupy bliżyńskiej, Jerzyka Blajwajsa, kolegę z mojego gimnazjum. Słabym głosem opowiedział mi, że szli pieszo przez trzy tygodnie, jedząc liście z drzew.

Między leżącymi kręciły się ekipy Czerwonego Krzyża, zbierając najsłabszych na nosze. Z prostej ciekawości i z braku jakiegokolwiek zajęcia, poszłam za nimi. Okazało się, że na krańcu miasta mieści się zaimprowizowany szpital – w kilkunastu obozowych barakach z piętrowymi pryczami (jednoosobowymi), z ekipą lekarską oraz personelem pomocniczym. Zapytałam kogoś z personelu, czy potrzebna im pomoc i następnego dnia, wraz z dwiema ochotniczkami, stawiłam się do pracy w szpitalu. Przez 6 lat wojny nie widziałam takich obrazów. Mężczyźni ważący 34 kilo. Spuchnięci z głodu lub szkielety, które nie mogły odwrócić się na posłaniu o własnych siłach – tych należało karmić i odwracać co jakiś czas, żeby zapobiec odleżynom. Umierali na naszych oczach, z wycieńczenia i na atak serca.

Pracowałyśmy od rana do wieczora, wraz z ekipami zawodowymi. Po prostu nie miałyśmy serca odejść wcześniej niż przed godziną policyjną. Szpital opróżniał się w sposób naturalny, pacjenci odchodzili na miejscowy cmentarz. Tylko nieliczni opuścili go o własnych siłach. My, kobiety w drezdeńskich koszarach, otrzymywałyśmy regularnie jedzenie, ręcznik i mydło.

W sobotę, chyba to było 6 maja, rozeszła się nagle wiadomość, powtarzana z ust do ust, że wojna się skończyła. Radość mieszała się z płaczem. To tylko dwa lata, mój Boże, o dwa lata za późno. Myśl, że święcę zakończenie wojny sama, bez rodziców, krewnych, bliskich, przyjaciół, że nie spełniło się ich prawie codzienne powiedzenie: „Obyśmy to wszystko opowiadali w spokojnych czasach", doprowadzała mnie do ataków histerycznego płaczu, który trwał długie godziny. Hanka nie wiedziała, co ze mną robić, uspokajała mnie, a ja nie mogłam przestać płakać, jak gdyby wylewały się ze mnie potoki łez, wstrzymywane przez lata. Pod wieczór uspokoiłam się wyczerpana, ale kiedy Hanka zrobiła mi herbaty, okazało się, że mam tak spuchnięte i skurczone gardło, że nie mogę nic przełknąć.

Przez następne dni wszystko toczyło się normalnie, ale z okien widziałyśmy szeregi Niemców na samochodach wojskowych z bronią wycelowaną w kierunku naszych okien. Ciągle jeszcze nie byłyśmy pewne, co z nami zrobią. Chodziły pogłoski, że w ostatniej chwili wysadzą w powietrze cały Terezin.

Przez cały wtorek, 9 maja, przejeżdżały szosą samochody wojskowe, wypełnione Niemcami. Na dwie godziny zapanowała cisza. Nagle usłyszeliśmy straszliwy huk rozchodzący się w powietrzu i szczęk toczącego się żelastwa poderwał nas znowu do okien. Powoli wytoczył się na szosę pierwszy czołg radziecki. Zamarłyśmy z wrażenia. Jakiś czas po tym pojawiły się następne czołgi i samochody wojskowe wypełnione żołnierzami, ciągle z bronią w pogotowiu. Widząc w oknach wymizerowane twarze i gdzieniegdzie ogolone głowy dziewcząt, posyłali w naszą stronę radosne okrzyki.

Kilka dni wcześniej ogłoszono w obozie stan kwarantanny, ze względu na niebezpieczeństwo wybuchu epidemii tyfusu. Nie wolno nam było opuszczać budynków, w których mieszkałyśmy. Dookoła nich pełniła wartę policja żydowska.

Wojska wyzwalające na wszystkich frontach witane były przez ludność z radością, kwiatami i uściskami. W Terezinie tego wszystkiego zabrakło. Prawdopodobnie żołnierze zrozumieli przyczynę naszej obojętności, bo nagle jeden z czołgów zatrzymał się. Zeskoczył z niego młody żołnierz, złapał żelazny drąg i rzucając w kierunku policjantów rosyjskie przekleństwa, zaczął rozbijać mur, który nas otaczał. To, bardziej niż widok uciekających Niemców i toczących się po tej samej drodze radzieckich czołgów, uświadomił nam, że byłyśmy wolne,

Czyżby? Wolne? Dlaczego żadna z nas nie wybiegła na ulicę? Machałyśmy do żołnierzy i uśmiechałyśmy się. Następnego dnia dowiedziałyśmy się, że Niemcy podpisały 8 maja bezwarunkową kapitulację.

Pierwsza noc wolności okazała się koszmarem. We wczesnych godzinach nocnych usłyszałyśmy tupot żołnierskich butów na korytarzu i krzyki dziewcząt, które przypadkowo znajdowały się na zewnątrz. Dziewczyna z naszego pokoju wpadła roztrzęsiona. Z trudem udało jej się uciec od goniącego ją żołnierza. Jeszcze w domu zaszczepiono nam trzy zasady: nie kręcić się w nocy na ulicy, widząc żołnierza przejść na drugą stronę ulicy i tak samo postąpić, gdy zobaczymy z daleka pijaka.

Wszystkie nasze dziewczyny były już w pokoju. Szybko zamknęłyśmy drzwi na klucz, postawiłyśmy przy nich obydwa stoły i usiadłyśmy na nich, ile tylko się nas zmieściło. W przeciągu nocy zmieniałyśmy się na tej zaimprowizowanej warcie. Przez całą noc pijani żołnierze kręcili się po korytarzach i tylko krzyki kazały się domyślać, co się dzieje z dziewczynami, które nie zdążyły się ukryć.

Wiele lat później słyszałam od mojego męża, który walczył w Dywizji Kościuszkowskiej, że przed wkroczeniem na tereny polskie, dowództwo wydało rozkaz zabraniający żołnierzom gwałtów i kradzieży chłopskiej żywności. Nawet zrywanie owoców w sadach groziło sądem wojskowym.

Z nastaniem rana wszystko ucichło. Żołnierze musieli wrócić do swoich jednostek, a do miasta wkroczyło dowództwo i zaprowadziło porządek. Od tego dnia nie widzieliśmy więcej żołnierzy kręcących się swobodnie po mieście, za wyjątkiem patroli.

Po pewnym czasie, kiedy wszystko się uspokoiło, wróciłyśmy do naszej ochotniczej pracy w barakach chorych mężczyzn, ale zastałyśmy wielkie zmiany. W jednym, najlepiej urządzonym budynku, umieszczono wszystkich chorych narodowości rosyjskiej lub innych, ale należących do Związku Radzieckiego. Do tego baraku przeniesiono naszą trójkę. Warunki sanitarne były tam o wiele lepsze – mniejsze zagęszczenie, przeszkolony personel sanitarny i oczywiście, lepsze jedzenie. Ale nas, wolontariuszki, traktowano okropnie. Mimo, że pracowałyśmy przez wiele godzin, wykonywałyśmy wszystkie prace, jakie nam zlecono, sprzątałyśmy barak i zbierałyśmy brudną bieliznę, w oczach naczelnej pielęgniarki (Ukrainki) byłyśmy „pasożytami, które przychodzą tylko żreć". Nietrudno było też usłyszeć, w pokrewnej mowie rosyjskiej, wypowiedzi antysemickie.

Po trzech dniach przestałyśmy przychodzić do pracy. Tymczasem spotkałyśmy paru znajomych chłopaków z Częstochowy, sprowadzonych do Terezina pod koniec wojny, tak jak my, z różnych obozów niemieckich, którzy już zdążyli się wywiedzieć, jak można stamtąd wyjechać. Między innymi dowiedzieli się, że we wszystkich większych miastach w Polsce działają z ramienia państwa Komitety Żydowskie, powołane do udzielenia pomocy Żydom ocalałym z Zagłady.

Postanowiłyśmy z Hanką, że wyruszymy z chwilą, kiedy chłopcy załatwią nam u czeskich władz potrzebne dokumenty. Dołączyła do nas Sala Birenbaum z Radomia, która dowiedziała się, że jej wujek, Pinkas Zeligowski, był przewodniczącym takiego komitetu w Warszawie.

Dostarczono nam dokumenty, prawo poruszania się po Czechosłowacji, prawo do korzystania z publicznych środków transportu i z początkiem czerwca wyruszyłyśmy w drogę. Kilka kilometrów pieszo do stacji kolejowej w Terezinie, stamtąd pociągiem do Pragi. Wzdłuż całej drogi do dworca Czesi żegnali nas uśmiechami, machaniem rąk, okrzykami: „na zdar".

Na dworcu w Pradze skierowano nas do Polskiej Misji Wojskowej, gdzie z kolei zaopatrzono nas w dokumenty uprawniające do przekroczenia polskiej granicy, dano prowiant na drogę i polecono czekać w jakimś ośrodku repatriacyjnym. Tam kłębił się już tłum Żydów, oczekujących na kontakt z pozostałymi przy życiu rodzinami.

Pojechałyśmy najbliższym pociągiem, zatrzymując się z konieczności w Morawskiej Ostrawie, i przez punkt graniczny w Zebrzydowicach przedostałyśmy się do Polski. Stąd Sala pojechała do Warszawy, a my z Hanką przez Katowice do Częstochowy.

7 czerwca 1945 roku, rano, wysiadłyśmy na dworcu w Częstochowie. W tym okresie setki ludzi, Polaków i Żydów, oblegało dworce kolejowe, oczekując z każdym przychodzącym pociągiem kogoś bliskiego czy przynajmniej znajomego. Myśmy spotkały kogoś, kto po usłyszeniu naszych nazwisk powiedział nam, że Pola Chorzewska, ciocia Hanki mieszka przy al. Wolności 11. Poszłyśmy tam natychmiast, znaną mi drogą, z podstawówki przy ulicy Przemysłowej do domu przy Alei Wolności 19.

Z cukierni Błaszczyńskiego, przy zbiegu ul. Piłsudskiego i Alei, rozchodził się jak dawniej zapach smażonych pączków i świeżych ciastek. Za mostem, przy szpitalu szarytek paliła się, jak dawniej, lampka oliwna przed ołtarzem Matki Boskiej, przed Kawiarnią Paryską przy II Alei stał, ten sam, co przed wojną, pikolak, tylko wydoroślały przez te 6 lat. Wszystko było takie samo, tylko nas tam nie było i już nie będzie...

Zamiast epilogu:

... „Przez ogród mój szatan szedł smutny śmiertelnie
I zmienił go w straszną, okropna pustelnię...
Z ponurym, na piersi zwieszonym szedł czołem
I kwiaty kwitnące przysypał popiołem.
Trawniki zarzucił bryłami kamienia
I posiał szał trwogi i śmierć przerażenia..."

Leopold Staff: „Deszcz jesienny"

LATA POWOJENNE

Wraz z przyjazdem do Częstochowy, w czerwcu 1945 roku, rozpoczęło się przystosowanie do „niby-życia". Rejestracja w Komitecie Żydowskim, kartki żywnościowe, a przede wszystkim – poszukiwanie bliskich w zdziesiątkowanej społeczności żydowskiej.

To, że nikt z mojej rodziny nie został przy życiu, wiedziałam już w małym getcie. Teraz dowiedziałam się, że ciocię Ewę, która była razem z nami w bunkrze i została w Częstochowie, wysłano razem z córką do Niemiec 15 stycznia, w przeddzień oswobodzenia Częstochowy. Jej 12-letni syn, Wowek, zginął w czasie likwidacji Małego Getta w 43 roku. Poza tym poszukiwała nas rodzina we Francji i w Ameryce, której musiałam obwieścić tragiczne skutki zagłady.

Również we Francji nie wszyscy się uratowali. Najmłodszy brat mojego ojca, Jakub, zginął we francuskim Ruchu Oporu; 16-letni Max, złapany w łapance, zginął w Oświęcimiu; Romek zaciągnął się ochotniczo do Legionu, żeby uzyskać po wojnie obywatelstwo francuskie – zginął w Północnej Afryce, broniąc francuskich kolonii. A moim smutnym obowiązkiem było zawiadomienie jego matki, mojej ulubionej cioci Balbiny, że również jej córka, Hanka, wyszła do akcji z bunkra, mimo protestów mojego ojca, i zginęła w Treblince wraz z trzyletnim synkiem, Łuckiem. Ojca Hanki, Molka Częstochowskiego, spotkałam przypadkowo w Izraelu. W 39 roku, z wybuchem wojny, po zajęciu przez Niemców Warszawy, roztropnie uciekł do Rosji, zostawiając 19-letnią Hankę samą w Warszawie, aby pilnowała mieszkania.

Różnymi drogami, poprzez powracające i wyjeżdżające fale uchodźców, pozostali przy życiu szukali szczątków swoich rodzin w skupiskach Żydów znajdujących się w Niemczech, w obozach wyzwolonych przez Aliantów. I tak dowiedziałyśmy się z Hanką, że Szmulek, mój brat, odnalazł się w Feldafingu z ciocią Ewą i poszukują nas w Częstochowie. Hanka natychmiast pojechała do Feldafingu, ale minęła się z nim w drodze, bo kilka dni po jej wyjeździe Szmulek zjawił się nagle w mieszkaniu, w którym mieszkałyśmy. Przyjechał razem z Izakiem, mężem Dziuni, która przeszła z Hanką i ze

mną wszystkie obozowe tarapaty, aż do naszego niefortunnego rozdziału w czasie ewakuacji Oświęcimia w listopadzie 44 roku. Kiedy mówię o obozowych tarapatach, to mam na myśli dzielenie się każdą kromką chleba, z której trzeba było jeszcze oszczędzać na zakup cieplejszej sztuki odzieży u chłopców z Sonderkommando, dzielić się skrawkiem koca na pryczy lub imitacją łyżki, tj. małym kawałkiem deski odłupanej ze ściany baraku. Dziunia odnalazła się z Izakiem w jednym z obozów niemieckich, uwolnionych przez aliantów.

Szmulek z Izakiem zostali jeszcze na kilka dni. Mój brat odebrał dwa obrazy, które przechowywał pan Seifert. Odwiedził też bunkry na strychach, gdzie Ojciec ukrył drogie wydania klasyków światowych, tłumaczone na żydowski, futra Mamy i cioci Ewy, szczątki radia, które uruchamiał na strychu przed gettem, oraz olejne portrety Mamy i Lwa Tołstoja, które mogłyby wydawać się podejrzane u pana Seiferta. Jak mi powiedział, nie znalazł nic z tych rzeczy.

Teraz powstał problem, co ze mną. Odmówiłam wyjazdu, bo chciałam się uczyć. Planowałam – po zdaniu małej matury – zapisać się do Liceum Pedagogicznego. Czułam, że taką decyzję powzięliby również moi Rodzice, którzy przez całe swoje życie byli zwolennikami włączania się Żydów w życie kraju, w którym się urodzili i w którym ich przodkowie osiedlili się przed blisko tysiącleciem. Walka miała toczyć się o równouprawnienie Żydów na zasadzie demokracji i przeciwko antysemityzmowi.

Do rozpoczęcia roku szkolnego pozostało kilka tygodni. Tymczasem Jadzia Brener, kierowniczka Domu Dziecka przy ul. Jasnogórskiej 23 i koordynatorka do spraw młodzieży w Komitecie Żydowskim, poprosiła mnie o poprowadzenie grupy dzieci, które we wrześniu miały kontynuować normalną naukę w szkole podstawowej, a których dotychczasowa nauczycielka, Hela Szczupak (Żydówka, absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego) postanowiła wyjechać z kraju. Były to dzieci żydowskie, przechowywane u rodzin chłopskich, w bunkrach lub klasztorach, nie zawsze mogące korzystać z usług szkolnych z innymi dziećmi w ich wieku – nawet tam, gdzie te szkoły istniały. Z radością przyjęłam jej propozycję, tym bardziej, że pokrywała się z moimi planami na przyszłość. Zajęcia były prowadzone w przedwojennej szkole żydowskiej im. Pereca, przy ul. Krótkiej 23 (?).

Rozpoczął się rok szkolny 1945/46. Nie byłam zobowiązana do uczestniczenia w uroczystym otwarciu. Następnego dnia poszłam do szkoły i skierowałam się do wyznaczonej mi klasy. Już w drzwiach usłyszałam rzucone z wnętrza klasy zdumionym głosem pytanie-twierdzenie: „żydówka???". Nie zareagowałam i upatrzywszy sobie miejsce, zapytałam siedząca tam dziewczynę, czy to miejsce wolne. Otrzymawszy twierdzącą odpowiedź, usiadłam nie zwracając uwagi, co się dzieje za mną. W klasie panował normalny gwar. Rozpoczęłam obojętną rozmowę z moją sąsiadką i tak zeszedł czas do wejścia nauczycielki.

Uczyłam się chętnie, ale niechętnie chodziłam do szkoły. Nie było żadnej integracji między mną a resztą klasy, poza tą dziewczyną, obok której siedziałam. Gwoli sprawiedliwości muszę zaznaczyć, że różnica wieku między nami wynosiła 4-5 lat.

Na razie nie było żadnych incydentów. Po miesiącu zaczęliśmy omawiać Zemstę. Dla lepszego zrozumienia i wczucia się w utwór mieliśmy na miejscu rozegrać kilka scen, czytając role w ławkach. Kiedy doszło do obsadzenia roli Klary, kilkanaście głosów z tylnych ławek, abym nie widziała kto, domagało się tej roli dla mnie. Pani spojrzała na mnie pytająco. Skinęłam głową na znak zgody i uśmiechnęłam się. „Poczekajcie, chamy, ja wam pokażę, jak należy czytać". Głupie szczeniaki nie wiedziały, że od 4-go roku życia stawiano mnie na taborecie i popisywałam się przed gośćmi deklamacją, a że mój brat skończył gimnazjum przede mną, cała literatura obowiązkowa została w domu. Ja, nie mając wiele do roboty przed gettem, znałam prawie na pamięć wszystkie kwestie kobiece. Przed rozpoczęciem mojej roli, słyszałam jeszcze tu i ówdzie chichoty, a kiedy zakończyłam z wielką emfazą frazę: „... krokodyla daj mi luby...", w klasie było cicho jak makiem zasiał, pani profesor spojrzała na mnie zaskoczona i powiedziała: „ależ pani świetnie czyta".

Wielką niedogodnością był dla mnie brak unormowanego planu zajęć. Kiedy nie wchodziłam do klasy, bo miała być lekcja religii, okazywało się, że w ostatniej chwili zmieniano plan i odbywała się lekcja innego przedmiotu. Lub na odwrót: do klasy po dzwonku wchodził ksiądz, bo znowu zmieniono plan.

Uczucie wyobcowania i przekonanie, że w takiej sytuacji nie wytrzymam psychicznie, skłoniły mnie do opuszczenia szkoły.

Tu należałoby powiedzieć na moje usprawiedliwienie, jak wyglądała sytuacja pod koniec 45 roku. Wszyscy moi rówieśnicy z równoległych lub prawie równoległych klas, zostali oswobodzeni 17 stycznia 45 roku i niemal natychmiast weszli do podobnych klas. Było ich, więc, po kilku w każdej klasie i stanowili grupę, która wspierała się nawzajem.

Sytuacja wewnętrzna w Polsce daleka była od pokoju, który oficjalnie panował już w Europie. Do tego dochodziły wieści, oficjalne i nieoficjalne, o ekscesach antyżydowskich, mniejszych pogromach w małych miasteczkach i większym w Krakowie, wyrzucanie Żydów z pędzących pociągów, bratobójcze walki we wschodnich rejonach Polski i na Podkarpaciu.

W społeczeństwie żydowskim panowała podobna sytuacja. Propaganda pro i anty. Z jednej strony rząd i Komitety Żydowskie robiły wszystko dla osiedlenia i produktywizacji Żydów, z drugiej strony organizacje syjonistyczne propagowały masową emigrację, na którą rząd przymykał oczy. W rezultacie decydowały względy osobiste i polityczne.

Z chwilą przerwania szkoły zostałam zawieszona w próżni. Nie wiedziałam, co robić ze sobą. Jadzia Brener zatrudniła mnie w Domu Dziecka jako korepetytorkę dzieci, które w dalszym ciągu miały trudności w szkole.

Uczucie wyobcowania i niemożność radzenia sobie absolutnie samej, w tej nowej i nie zawsze pewnej rzeczywistości, coraz częściej zwracały moje myśli do połączenia się z niedobitkami rodziny, która mi została. Dostawałam od nich długie i częste listy. Z listów tych płynął powiew optymizmu i ciepła. Ciągle jakiś nowo odnaleziony znajomy pisał i oddawał pozdrowienia od innych znajomych, których opuściłam przed czterema laty. Zwłaszcza Dziunia namawiała gorąco do przyjazdu. Opisywała życie w skupiskach bezpaństwowców i ciągle dodawała: „tu trzeba takich ludzi jak ty, tu dopiero miałabyś pole działania".

Nawet takie przeciwniczki emigracji jak Jadzia Brener i pani Rychterowa zgadzały się ze mną, że w takiej sytuacji jak moja, powinnam być z bratem. Pani Rychterowa znalazła grupę, która miała opuścić Polskę w krótkim czasie i poprosiła swojego znajomego, Leona Sztajnkellera, który miał również wyjechać z tą grupą, aby miał nade mną pieczę.

W Domu Dziecka pani Jadzia urządziła mi oficjalne pożegnanie z przemówieniami, podziękowaniami itp. i na początku 46 roku ruszyliśmy w drogę. Przejście przez granicę miało nastąpić w Zgorzelcu, z pomocą odpowiedniego przewodnika. Stanowiliśmy dwudziestoosobową grupę. Późnym wieczorem, nie pamiętam już jak, znaleźliśmy się nad granicą w jakimś lasku. Przewodnik czekał na odpowiedni znak ze strony straży pogranicznej, która niejednokrotnie już pomagała w tej półoficjalnej emigracji, kiedy nagle rozległy się strzały. Przywarliśmy do ziemi na polecenie przewodnika i czekaliśmy na dalszy rozwój wypadków. Kiedy po jakimś czasie zapanowała cisza, polecił nam rozejść się do domów, gdzie byliśmy rozlokowani i czekać na odpowiednią okazję. Nazajutrz dowiedzieliśmy się, że tej nocy został zabity pracownik miejscowego Urzędu Bezpieczeństwa i należy uzbroić się w cierpliwość. Czekanie przedłużało się.

W Zgorzelcu było wiele mieszkań poniemieckich, niezupełnie rozszabrowanych, rozlokowaliśmy się wygodnie. Była też na miejscu spora społeczność żydowska, która przyjęła nas serdecznie. Byli to repatrianci ze Związku Radzieckiego i częściowo mieszkańcy centralnej Polski, którzy prawdopodobnie tak jak nasza grupa szukali przejścia na Zachód. Czekanie przedłużało się i trzeba było z czegoś żyć. Ja w każdym razie nie miałam wielkich zasobów pieniężnych, toteż, kiedy zaproponowano mi pracę w miejscowym żydowskim półinternacie, przyjęłam ją z entuzjazmem. Był to internat, jak wszystkie ówczesne instytucje społeczne, prowadzony przez Komitet Żydowski, a finansowany przez państwo.

Komitety Żydowskie zajmowały się poza tym produktywizacją Żydów ocalałych z Zagłady i falą reemigrantów z ówczesnego Związku Radzieckiego, działalnością kulturalną i charytatywną. Był to, więc idealny program, taki sam, jaki wyniosłam z domu: istnienie produktywnej społeczności żydowskiej w Niepodległym Państwie Polskim.

Dzieci w wieku przedszkolnym i z młodszych klas podstawówki mówiły siłą rzeczy jedynie po rosyjsku, ale porozumiewałam się z nimi doskonale: one uczyły mnie rosyjskiego, a ja je polskiego.

W sierpniu 46 roku dwie pary z naszej grupy założyły rodziny: Ewa i Borys Herszkowicz i ja z moim opiekunem, nadanym mi przez panią Felicję Rychter – Leonem Sztajnkellerem. Pobraliśmy się tego samego dnia w Urzędzie Stanu Cywilnego. Ewa i Borys byli spowinowaceni i wśród ich rodziców powtarzało się to samo nazwisko, tak, że było trochę zamieszania dopóki Urzędnikowi Stanu Cywilnego udało się wystawić dwa świadectwa ślubu dla właściwych par.

We wszystkich społecznościach żydowskich na terenie całej Polski ciągle toczyły się dyskusje: pozostać czy wyjechać. Nie braliśmy udziału w tych dyskusjach, ale postanowiliśmy pozostać. Była to sprawa indywidualnej postawy każdego człowieka i nie czuliśmy się upoważnieni do ingerencji i agitowania. Część ludzi jednak wyjechała w ramach oficjalnej emigracji umożliwiającej Żydom łączenie się z rodzinami za granicami Polski.

Półinternat został zamknięty i rozpoczęłam pracę w Zarządzie Miejskim Zgorzelca, gdzie już przedtem zaczął pracować mój mąż. Nawiązaliśmy kontakty towarzyskie, w czym bardzo nam pomogła służba wojskowa mojego męża w Dywizji Kościuszkowskiej, droga od Lenino do Berlina, odznaczenie medalem „W uznaniu zasług położonych w wojnie z Niemcami, dla sprawy zwycięstwa Narodu Polskiego nad barbarzyństwem faszystowskim", bezpośredniość w obcowaniu, nabyta przez lata służby wojskowej, i nasza łatwość w komunikacji międzyludzkiej.

Na przełomie lat 1947-48 odczuliśmy pierwszy wstrząs w naszym jako tako unormowanym życiu małego miasteczka na peryferiach Polski.

Przewodniczącym Komitetu Żydowskiego był zdemobilizowany kapitan Wojska Polskiego – Michał Rabinowicz. Przedwojenny komunista, uciekł do Francji w czasie rozwiązywania Polskiej Partii Komunistycznej, ale w sierpniu 1939 roku wrócił do Polski, ponieważ podlegał ogłoszonej wówczas powszechnej mobilizacji. Po klęsce wrześniowej uciekł do Związku Radzieckiego. Tam był czynny w Związku Patriotów Polskich, zaciągnął się do nowo organizowanej Armii Polskiej i zdemobilizowany w stopniu kapitana w 1945 osiedlił się w Zgorzelcu. W okresie tworzenia się ówczesnej państwowości Michał był człowiekiem niezastąpionym: ideowiec o gorącym sercu i czystych rękach, jak głosił slogan. Tylko tacy ludzie mogli budować Polskę Ludową, a Michał Rabinowicz był właśnie takim człowiekiem.

Zgorzelec jest częścią dużego miasta, rozdzielonego rzeką Nysą między Polską a Niemcami. Mieszkańcy byli skupieni w niewielkich blokach sąsiadujących ze sobą, tak, że codziennie spotykaliśmy się ze sobą, czy to po sąsiedzku, czy też w sprawach Komitetu Żydowskiego, który swoim zakresem obejmował okoliczne osiedla, również częściowo

zamieszkane przez Żydów. Na te właśnie posiedzenia Michał przychodził z dużym opóźnieniem, przygnębiony. Nie odpowiadał na nasze pytania, gdzie się podziewał. Właśnie na tych posiedzeniach mogliśmy zauważyć zmiany, jakie w nim zaszły i te częste niewytłumaczalne nieobecności.

Któregoś wieczoru, przybiegła do nas Aniela z półtorarocznym Wiktorem na rękach i w zaawansowanej ciąży, rozhisteryzowana, że Michał, który nigdy nie pił, pije już od godziny bez opamiętania i bawi się rewolwerem. Kiedy jej perswazje i prośby nie odniosły skutku, wybiegła z dzieckiem z domu. Za sobą usłyszała zamykane na klucz drzwi. Borys Herszkowicz przybiegł po Leona i natychmiast pobiegli do mieszkania Rabinowiczów. Zaczęli prosić o otwarcie drzwi, kiedy nagle usłyszeli pojedynczy strzał. W tej sytuacji pobiegli na milicję. Ale nim milicja i ambulans Czerwonego Krzyża przybyły, UB wyważyło drzwi i jedyną ich czynnością było zabranie listu, który pozostawił Michał. Lekarz stwierdził zgon. Milicja spisała protokół i na tym zakończyła się sprawa.

Ale nie dla nas. W pogrzebie, który odbył się na cmentarzu komunalnym, wzięła udział mała garstka przyjaciół, mimo że Michał pełnił różne funkcje społeczne i partyjne. Byliśmy oszołomieni i zdezorientowani. Coś się za tym wszystkim kryło, ale co? Nie do pojęcia był fakt, że człowiek rozsądny, zrównoważony, obarczony rodziną popełnia samobójstwo, nie dając wcześniej otoczeniu żadnych powodów do niepokoju. W każdym razie, swoją tajemnicę zabrał ze sobą do grobu. A może została w aktach UB?

Był to początek 1948 roku. Postanowiliśmy wraz z rodziną Herszkowicz przenieść się do Wrocławia. Małe społeczeństwo żydowskie zajmowało się Anielą, jej dwuletnim synem, Wiktorem (nazwanym na cześć zwycięstwa nad Niemcami, jako że urodził się w maju), i nowo narodzonym Michałem.

Był to okres ciągłej jeszcze migracji ludności. Dolny Śląsk był rejonem szczególnie dogodnym, ze względu na stosunkową łatwość zakwaterowania i nieistnienie bezrobocia. Każdy zakład, każda instytucja czekały na pracowników. Urzędnicy w urzędach zatrudnienia wywodzili się z wszystkich jeszcze wówczas partii w tym także z Komitetu Żydowskiego, wśród nich było wielu znajomych. Państwo kładło wówczas nacisk na umożliwienie Żydom włączenia się do wszystkich dziedzin produkcji, licząc na ich lojalność w zamian za równouprawnienie i tępienie antysemityzmu. Pod tym względem państwo nie zawiodło się na nas. Tym większy był zawód, który wstrząsnął społeczeństwem żydowskim później.

O powstaniu Państwa Izrael dowiedziałam się w Szpitalu w Częstochowie, gdzie leczyłam różne dolegliwości, ponieważ w Zgorzelcu nie było odpowiednich warunków. Mój mąż przyjechał ze Zgorzelca i przywiózł numer „Przekroju" z pięknym artykułem wstępnym Kazimierza Koźniewskiego, który mam do dzisiaj. Kiedy z okazji Dnia Niepodległości zbiera się małe grono przyjaciół, odczytuję ten artykuł i zawsze wywołuje to wzruszenie obecnych i zdziwienie, że nie próbowałam go przetłumaczyć na hebrajski i opublikować.

We Wrocławiu zamieszkaliśmy po kilku miesiącach. Zdobywanie mieszkania odbywało się na zasadzie wypłacania „odstępnego" poprzedniemu właścicielowi, który potem w Miejskiej Radzie Narodowej oświadczał, że nie zgłasza sprzeciwu wobec zajęcia przez nas mieszkania. Wydział Kwaterunkowy nie stawiał przeszkód i przydzielał mieszkanie zainteresowanym.

Moją pierwszą pracą była posada sekretarki Zarządu Spółdzielni Produkcyjnej im. Olgina. Miałam niezaprzeczalne kwalifikacje: pisałam ortograficznie i potrafiłam skomponować sensowny protokół z najbardziej bezsensownych wypowiedzi.

Była to spółdzielnia szewsko-cholewkarska. Jej kierownictwo, wyznaczone przez partię w porozumieniu z Komitetem Żydowskim, składało się na ogół z przedwojennych działaczy komunistycznych i syjonistycznych (dla podkreślenia pluralizmu politycznego).

We Wrocławiu mieszkała stosunkowo duża liczba Żydów i wraz z powstaniem Państwa Izrael rozpoczęła się zarzucona już dyskusja, czy Żydzi powinni zostać w Polsce, czy emigrować do Izraela. Polska jako jedna z pierwszych uznała nowo powstałe Państwo Żydowskie i wydawało się logiczne, że państwo dopuści legalną emigrację.

Na razie rząd zgodził się na wyjazd ochotniczych grup młodzieżowych, przeszkolonych uprzednio w obozach wojskowych, aby uzupełniły skromne oddziały Hagany. Nabór odbywał się głównie wśród młodzieży żydowskiej w Polsce i Czechosłowacji i był całkowicie podporządkowany organizacjom izraelskim. Co znamienne, ochotnicy rekrutowali się ze wszystkich ruchów politycznych, od skrajnie nacjonalistycznych do komunistycznych.

Zdawałoby się, że tak osobiste sprawy jak postanowienie emigracji czy pozostania w kraju powinny być ściśle prywatną sprawą każdego człowieka, ale u nas – Żydów, takie sprawy muszą zostać przedyskutowane, przewałkowane, przeżute i przetrawione publicznie, na zebraniach (tylko dla Żydów) i kółkach domowych organizowanych przez liczne, legalne jeszcze, organizacje i ruchy polityczne. Było to świetne pole do popisu dla oratorów i agitatorów różnych kierunków, ale w końcu i tak każdy postępował zgodnie z własnym sumieniem i światopoglądem. Odeszłam ze Spółdzielni Olgina, bo źle się czułam w tej atmosferze podziału.

Powoli w politykę wewnętrzną niektórych krajów demokracji ludowej zaczęły wkradać się przejawy nacjonalizmu. Rzekoma konieczność wzmożenia „walki klasowej" wobec wzrastających „apetytów imperializmu" spowodowała falę procesów przywódców partyjnych w Czechosłowacji i na Węgrzech, które zakończyły się wyrokami śmierci. Przypadkiem lub nie, były to osoby pochodzenia żydowskiego. Przypadkiem lub nie, duża liczba przywódców partyjnych i państwowych była pochodzenia żydowskiego. Pozostawiam to socjologom i historykom. My czuliśmy żal i zażenowanie, że Żydzi, którym demokracje ludowe dały pełne równouprawnienie, identyfikują się z „amerykańskim imperializmem". Wtedy jeszcze ufaliśmy propagandzie, ale wobec tego, że w Polsce takich zarzutów i procesów nie było, nie braliśmy tego do siebie.

Wkrótce po odejściu z Olgina zaczęłam pracę w Miejskim Przedsiębiorstwie Komunikacyjnym we Wrocławiu, jako sekretarka Dyrektora Naczelnego, Zygmunta Ociepki (nota bene również częstochowianina, ale przed wojną należeliśmy do dwóch różnych światów) i Dyrektora Technicznego, inż. Józefa Szenbacha, chyba ze Lwowa.

Rozpoczęłam pracę pełna obaw i niepewności, czy sobie poradzę. Licząca 3000 osób załoga, dziesiątki wydziałów, oddziałów i referatów. Dziesiątki spraw przewijających się przez sekretariat każdego dnia i ja, mająca pierwszy raz w życiu do czynienia z nieznanym mi dotąd resortem. Ale za przewodnika miałam ideał wszystkich sekretarek, cierpliwą i niezastąpioną Panią (Pannę?) Terenię, która na co dzień przychodziła do pracy w świetnie skrojonym kostiumie i pantoflach na wysokim obcasie, a która miała pozostać ze mną, dopóki nie wejdę w tok pracy. Ale po pierwszym zaprotokołowanym przeze mnie posiedzeniu Dyrekcji z Naczelnikami Wydziałów, podczas którego Terenia podpowiadała mi tylko nazwiska zabierających głos, Dyrektor Ociepka uznał, że jestem już dostatecznie przygotowana. Mimo, że nazwę samochodu marki GMS napisałam James, tak jak słyszałam. Gdybym nie znała angielskiego napisałabym: „Dżems".

Szybko i z zapałem wdrażałam się w nową pracę i nowe otoczenie. Zakład tętnił życiem, problemy goniły jeden za drugim, a wszystkie wymagały szybkości i sprawności. Załoga i kierownictwo były solidarne. Ton nadawała stara kadra tramwajarzy lwowskich, którzy mogli osiedlić się w jedynym mieście, gdzie była olbrzymia, poniemiecka sieć komunikacyjna, tzn. we Wrocławiu. A tramwaje były treścią ich życia. Szybko wżyłam się w tę społeczność i uzyskałam pełną ich akceptację. Awansowałam z kierownictwa sekretariatu do wydziału kadr, a w połowie 54 roku zostałam mianowana zastępcą dyrektora do spraw administracyjno-finansowych. Wzbraniałam się przed tą decyzją, twierdziłam, że nie mam odpowiedniego wykształcenia ekonomicznego, ale nie przyjąć ofiarowanego stanowiska, to znaczy zdezerterować, opuścić szeregi budowniczych Polski Ludowej. Tym samym przyjęłam na siebie rolę listka figowego. Byłam najwidoczniejszym dowodem, że antysemityzm jest przeżytkiem i pozostałością przedwojennych rządów sanacji i że realizuje się postulat Partii wysuwania kobiet na kierownicze stanowiska.

Objęłam to stanowisko z pełnym poparciem ludzi, z którymi pracowałam dotychczas i z którymi miałam pracować w przyszłości, a to stanowiło już pewną podporę i oparcie. Pragnęłam też więcej pracy i zainteresowania, aby oderwać się od nieszczęścia, które spotkało mnie niedawno.

W grudniu 1953 roku zmarł nagle mój mąż – na zawał serca. Pierwszy atak nastąpił w pracy, przy podpisywaniu listy obecności, drugi, tym razem śmiertelny, nastąpił po półgodzinie na Izbie Przyjęć.

Pozostałam sama, z trzyipółletnią córeczką i w dziewiątym miesiącu ciąży. Bez rodziny, zdana sama na siebie i przyjaciół, którzy zresztą nie zawiedli. Po pogrzebie i przepisanej u Żydów siedmiodniowej pokucie, Ewa i Borys Herszkowiczowie zabrali mnie

z Irenką do siebie, do dwupokojowego mieszkania, które zajmowali ze swoim czteroletnim synkiem, Kubą. Miałam zostać u nich aż do rozwiązania.

13 stycznia, kiedy poczułam zbliżające się pierwsze oznaki porodu, Ewa zawiozła mnie do Kliniki Uniwersyteckiej, gdzie byłam na obserwacji przez cały okres bardzo ciężkiej ciąży. Rodziłam prawie bez bólów. W odpowiednich momentach porodu, lekarka i akuszerka nawoływały mnie na przemian: „niech pani krzyczy, niech pani prze!". Po pewnym czasie, lekarka oznajmiła z radością: „ma pani syna". Jednocześnie coś ją widocznie zaniepokoiło, bo szybko oddała dziecko akuszerce i po osłuchaniu zbadała mnie wewnętrznie. Wtedy oznajmiła: ma pani bliźniaki. Coś się we mnie urwało i zaczęłam spazmatycznie płakać. Spojrzała na mnie zdziwiona i jak gdyby oburzona, wtedy dopiero powiedziałam, że mój mąż zmarł przed trzema tygodniami.

Zaklęła tylko „psiakrew". Do towarzyszącego lekarza, którego wezwała do pomocy, powiedziała: „trzeba coś zrobić, tętno płodu bardzo złe". Nie wiem, co robili ze mną, bo ja cały czas z płaczem błagałam: „ratujcie to dziecko". Po kwadransie zabiegów urodziła się dziewczynka, zdrowa, tylko ważąca 2.950 g., a więc o pół kilograma mniej od swojego brata. Po skończeniu urlopu macierzyńskiego wróciłam normalnie do pracy.

Kiedy napisałam o tym wszystkim bratu, który już od 48 roku był w Izraelu, odpisał mi, żebym natychmiast starała się przyjechać do niego. Sugerował mi jak to zrobić: napisać prośbę do Prezydenta Państwa, wyjaśnić, w jakiej zostałam sytuacji, że umieramy z głodu itp. Jeszcze dzisiaj, tak jak i wtedy, uśmiecham się na myśl o tej sugestii. Odpisałam, używając oględnych sformułowań. Istotą mojej odpowiedzi było, że po takim liście od brata, Prezydent Izraela nie zobaczy mnie więcej w życiu, ani ja moich dzieci. Była to połowa 54 roku. Roku wybitnie ponurego.

Od dwóch lat przenikały do prasy wiadomości, o konieczności walki z kosmopolityzmem, a w następstwie tego wiadomość o rozwiązaniu Żydowskiego Związku Antyfaszystowskiego w Związku Radzieckim. Wiadomości te, przedrukowane z „Prawdy", nie były specjalnie eksponowane przez polską prasę partyjną, ale codzienne artykuły wstępne, były czytane z uwagą, ponieważ tylko z nich można się było dowiedzieć, skąd wieje wiatr i komu grozi niebezpieczeństwo. Dopiero „sprawa lekarzy żydowskich", którzy leczyli czołówkę partyjną i rządową Związku Radzieckiego i w śledztwie przyznali się, że używając zdradzieckich metod, usiłowali pozbawić życia tę czołówkę, wzbudziła niepokój społeczeństwa żydowskiego. Oskarżenie absurdalne, szyte zbyt grubymi nićmi, ale czuło się przeddzień sowieckich procesów z 37 roku.

Ja, mimo tych insynuacji i wierząc w swoją „nieskazitelną" opinię, zwróciłam się do pracownika UB, który był na etacie kontrolera. Prosiłam, aby sprawdził, czy miałabym szansę, gdybym zwróciła się do odnośnych władz o wydanie zezwolenia na krótki wyjazd do Francji, gdzie na neutralnym terenie mogłabym spotkać się z bratem. (Dzieci, oczywiście, miały zostać w Polsce.) Po kilku dniach otrzymałam krótką odpowiedź, bez dodatkowych komentarzy: „nie teraz". Awansowanie mnie, krótko po tym, na tak

odpowiedzialne stanowisko świadczyło o mojej rzeczywiście nieskazitelnej opinii albo, że ów przyjacielski kontroler przekazał mi swoją osobistą decyzję, nie przekazując mojej prośby dalej.

Nie jestem pewna czy podaję fakty w kolejności chronologicznej, ale lata 1953-54, śmierć Stalina, kotłowanie się czołówki partyjnej w Moskwie, fakt utworzenia etatu dla pracownika UB, którym został pracownik zakładu, świetnie znający środowisko, nie wróżyły niczego dobrego. Ja jednak, mimo wszystko optymistka, ciągle wierzyłam, że będzie lepiej. Praca, konieczność zajmowania się domem (Irenka chodziła do przedszkola, a bliźniaki były w żłobku tygodniowym Zakładu, przywoziłam je w sobotę i odwoziłam w poniedziałek rano) absorbowały mnie całkowicie. Ciągłe zmiany w kierownictwie partii i władzach dezorientowały zupełnie.

W 1955 roku nastąpiły wydarzenia, które były jak gdyby ukoronowaniem tych zmian. Czołowe kierownictwo UB uciekło za granicę. Ukazały się w prasie potępiające oskarżenia i nazwiska, zmienione lub nie: Światło (Licht), Fejgin, Różański. Wszyscy żydowskiego pochodzenia. Znów to podświadome poczucie winy i zażenowanie. Tymczasem na Polskę spadły zrzuty broszurek. Kilkadziesiąt stron, zadrukowanych maczkiem na impregnowanym papierze, przedstawiało bez osłonek dzieje ostatnich lat rządów Związku Radzieckiego w Polsce. Mowa w nich była o sposobach wzbudzania antysemityzmu poprzez stawianie Żydów na kluczowych stanowiskach (wiązano te fakty z wypadkami mordowania w niektórych regionach Polski partyzantów żydowskich przez oddziały AK). Ulotki informowały też o zaszczuwaniu (kończącym się nawet samobójstwami) komunistów, którzy całe życie oddali sprawie, a także o kulisach rozwiązania i uznania za nielegalne innych partii, jak PPS i Stronnictwo Demokratyczne. Na korzyść Polski należy zapisać fakt, że nie odbyły się u nas procesy pokazowe „Żydów-zdrajców". Boże, w jakim świecie ja żyłam?

Tymczasem, mimo wszystko, a może właśnie, dlatego odczuwało się jakąś ulgę w powietrzu. Pierwsza jaskółka zbliżającej się „wiosny" to Międzynarodowy Festiwal Młodzieży i Studentów, który odbył się w Warszawie, i następująca po tym feeria wolności w prasie i życiu codziennym. Można już było posiedzieć z kolegami z pracy w kawiarni, bez narażenia się na zarzuty kumoterstwa i potajemnego knowania. Prasa coraz obszerniej komentowała „wypaczenia minionego okresu", nie pomijając szczebli rządzących.

Nie pamiętam dokładnie chronologii wydarzeń, ale dwa szczególnie ważne fakty tamtego czasu to uwolnienie i rehabilitacja Gomułki, skazanego uprzednio za wykroczenia „prawicowo-nacjonalistyczne", i strajk u Cegielskiego, który został brutalnie i krwawo stłumiony przez władzę. Pierwsze ofiary robotników w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, która została stworzona przez robotników i chłopów dla robotników i chłopów. Acha, i dla inteligencji pracującej także.

Wkrótce ukazała się „Matka Królów" Brandysa, która w piękny, literacki sposób reasumowała minioną epokę, z czasem obecnym włącznie. I jeszcze „Ciemności kryją ziemię" Andrzejewskiego – powieść, której akcja toczyła się w Hiszpanii w czasach inkwizycji, ale wszystkie wypadki tam przedstawione można było z łatwością przenieść w czasy obecne w Polsce.

A gdzie ja byłam w tym wszystkim? Pracowałam ze zdwojoną energią, bo widziało się wyniki tej pracy. Cieszyłam z wszystkimi ze zmian, czasami tylko wkradało się zaniepokojenie, że wśród otwarcie krytykowanych za wypaczenia było coraz więcej nazwisk żydowskich. Ale jak zwykle nie brałam tego do siebie. Ja byłam ponad tym.

Któregoś dnia zabierałam Irenkę z przedszkola i w drodze do domu usłyszałam: „mamusiu, wiesz, Pani powiedziała, że my pojedziemy do ciepłych krajów i tam będę jadła owoce południowe". Zbyłam tę uwagę milczeniem.

Był to okres likwidacji wielu PGR-ów i – nie pamiętam jak – znaleźliśmy się w jednym z nich. Może z okazji mobilizowania pracowników do pomocy w pracach rolnych w niedzielę. Patrzyłam na wychudzone krowy, którym sterczały żebra z boków, na rozbiegane setki kur. Ktoś z moich współpracowników powiedział półgłosem: „nam by się przydało takie gospodarstwo". W tym czasie wiele dużych zakładów dysponujących licznymi pracownikami, adoptowało takie rozpadające się gospodarstwa. Po kilku naradach z odnośnymi kierownikami działów, przedstawiłam dyrektorowi naczelnemu, mojemu bezpośredniemu zwierzchnikowi, luźną myśl zaadoptowania takiego gospodarstwa, przedstawiając korzyści, jakie mogą z tego kroku wynieść pracownicy naszego zakładu. Pomyślał kilka sekund i zapytał: „a kto to poprowadzi jak wyjedziesz?". Zamurowało mnie, a w mózgu zabłysło małe ostrzegawcze światełko. Kto wyjedzie? Ja? Zakończyliśmy na tym tę rozmowę i więcej do tego nie powracałam.

Pracowaliśmy dalej normalnie. Była już druga połowa 56 roku. W czasie jakiegoś spotkania służbowego, kiedy byliśmy tylko we dwoje w jego gabinecie, Jankowski zapytał mnie wprost, czy nie czuję się czasami, jak gdybym chodziła na krawędzi przepaści z zawiązanymi oczami. Odpowiedziałam stanowczo, że nie, nigdy. Na to on, zniżając głos, poinformował mnie, że sekretarz POP wysłał do Komitetu Żydowskiego w Częstochowie list, prosząc o informacje o mnie. Małe ostrzegawcze światełko z poprzedniej rozmowy rozbłysło wielką pochodnią. Pierwszym odruchem była myśl, że przewodniczący Komitetu jest starym towarzyszem partyjnym moich rodziców i zna mnie od urodzenia, ale wstrzymałam się. Czy już próbuję się bronić, uspokoić jego i siebie? Ale milczałam, bo wiedziałam, że nie ma sensu. Postanowienie już zapadło. Nie chcą mnie, więc czegoś szukają. Szukaj, a znajdziesz, a jak nie znajdziesz, to już coś wynajdziesz.

W wyobraźni widziałam scenariusz najbliższych tygodni. Zebranie partyjne, na którym postawią mi najbardziej absurdalne zarzuty. Kłamliwe i nieprawdopodobne. Znałam siebie i swoją pracę. Ale wiedziałam, jak przebiegają tego rodzaju zebrania. Jedyne, co będzie mi wolno powiedzieć, to złożyć „szczerą" samokrytykę, kajać się za

wymyślone przez kogoś, nie moje winy. Wiedziałam, że nie poniżę się do tego stopnia. Ale to i tak nie będzie miało żadnego znaczenia. Zostałam odgórnie naznaczona. Usuną mnie z partii i pracy. Jako osoba naznaczona niełatwo znajdę pracę, jeśli w ogóle. Jestem sama i mam na utrzymaniu troje dzieci. Moje bliźniaki korzystają ze żłobka przysługującego jedynie pracownikom MPK. Zajmuję mieszkanie pracownicze Zjednoczenia Energetycznego, gdzie pracował mój mąż. Wszystkie te przywileje, należne mi jako uczciwemu pracownikowi, zostaną mi odebrane. Nie będę miała nawet pracy. Trwało milczenie. Powiedziałam „dziękuję" i wyszłam z gabinetu.

Następnego dnia złożyłam podanie o paszport i miesięczną wizę do Izraela, motywując to chęcią odwiedzenia brata, jedynego członka rodziny, jaki mi pozostał. Po kilku miesiącach dostałam pozytywną odpowiedź. O postanowieniu wyjazdu wiedziało w pracy tylko dwoje najbardziej zaufanych mi ludzi. Dla równowagi jeden Żyd i jeden Polak. Poza tym wszyscy sąsiedzi i moi przyjaciele spoza miejsca pracy. W dniu, w którym otrzymałam zezwolenie, przyszedł wieczorem znajomy mi człowiek i nie licząc się z tym, że było u mnie kilku przyjaciół powiedział, za jaką sumę (zresztą całkiem skromną) może mi zamienić wizę turystyczną na emigracyjną i to natychmiast. Z radością przyjęłam propozycję i następnego dnia po otrzymaniu dokumentu podróży, uprawniającego mnie i moje dzieci do jednokierunkowego przekroczenia granicy, pojechałam do Konsulatu Izraela w Warszawie załatwiać resztę formalności. W konsulacie spotkałam ludzi w tym samym położeniu – albo stracili pracę, albo tak jak ja czekali na jej utratę, szykany i poniżenie publiczne, i woleli wyjechać wcześniej.

Pracownik konsulatu, który mnie przyjął, zapytał o moją sytuację ekonomiczną. Powiedziałam, że w Izraelu czeka na mnie brat, w Polsce pracowałam na posadzie i że trzy lata temu zmarł mój mąż. Przejrzał swój zapisany kalendarz i zapytał, czy termin wyjazdu z Warszawy 3 stycznia odpowiada mi. Był koniec listopada 56 roku. Odpowiedziałam, że tak. Wyszedł z pokoju i po krótkim czasie wrócił i wręczył mi opłacone już bilety na przejazd z Warszawy do Wiednia. W Wiedniu miał przejąć naszą grupę pracownik Sochnutu i zająć się naszymi dalszymi etapami podróży aż do Hajfy.

Na noc zatrzymałam się w Warszawie u pary długoletnich przyjaciół H i O. Cieszyli się z mojej decyzji wyjazdu i opowiadali o różnych drobnych szykanach, jakich doznaje O. w zakładzie, w którym pracuje jako inżynier. H., która jest ordynatorem oddziału wcześniaków w jednym z warszawskich szpitali, jest na razie pozostawiona w spokoju, ale obydwoje myślą o emigracji do Kanady. O. w 48 roku zgłosił się jako ochotnik do walk w Izraelu i bardzo podobał mu się izraelski kibuc, ale H. napisała mu, że bliższy jest jej polski chłop niż izraelski kibucnik, więc wrócił do Polski.

Wzięłam miesięczny urlop wypoczynkowy od 1 grudnia i zaczęłam przygotowywać się do wyjazdu. W tramwajach nie pokazałam się więcej, nawet żeby odebrać wypłatę. Nasz wyjazd z Warszawy miał nastąpić 3 stycznia. Z Wrocławia wyjechaliśmy 1 stycznia rano. Prócz normalnych przygotowań do emigracji musiałam zaopatrzyć się w

pokwitowania opłaty wszystkich świadczeń i uzyskać zezwolenie na wywóz dwóch obrazów, które oddał nam Pan Seifert. Tutaj natrafiłam na trudności, ponieważ jeden z urzędników był przeciwny „wywożeniu z kraju dzieł sztuki", ale prawie płacząc uprosiłam ich, mówiąc, że jest to jedyna pamiątka po moich rodzicach, przechowana w czasie wojny przez Polaka.

Z wszystkimi papierami poszłam do banku i otrzymałam na wyjazd 20$ (dwadzieścia dolarów amerykańskich), po 5$ na członka rodziny.

Do Warszawy pojechała z nami Krysia, która mieszkała u mnie i w niedziele pomagała mi zajmować się dziećmi.

3 stycznia odjechaliśmy nocnym pociągiem do Wiednia Z miłym zdziwieniem zauważyłam, że Sochnut (Agencja), który zajmuje się sprawami „aliji" (w wolnym tłumaczeniu: reemigracji) Żydów do Izraela, zaofiarował nam przedział sypialny.

Krysia, zanosząc się od płaczu, ubierała dzieci w piżamki i układała je do snu. Dopiero na odgłos gwizdka, pożegnałam się z przyjaciółmi i weszłam do wagonu. Pociąg, który miał zatrzymać się dopiero na stacji docelowej, jechał w kierunku południowo-zachodnim, a więc tą drogą, którą jechaliśmy przed dwoma dniami do Warszawy. Kiedy pociąg z hukiem minął Wrocław Główny i wtaczał się w zagruzowane ulice Nadodrza, odruchowo podniosłam Irenkę do okna i powiedziałam: „patrz, i pamiętaj, że tutaj się urodziłaś". Jedyny przystanek był na punkcie granicznym w Zebrzydowicach. Przez ten punkt jedenaście i pół roku temu wracałam, z obozu w Terezinie do Polski. Do wagonu weszli celnicy i po przejrzeniu dokumentów i otrzymaniu prezentu w postaci kilku butelek spirytusu, opuścili nasz przedział, nie zaglądając do walizek. Nie wieźliśmy niczego niedozwolonego, ale bałam się rozpakowywania walizek, rozrzucania rzeczy i pakowania ich na powrót. Po jakimś czasie usłyszeliśmy plombowanie wagonów i pociąg ruszył.

Do Wiednia dotarliśmy wieczorem. Nie pamiętam godziny, ale było już ciemno. Na dworcu oczekiwali nas przedstawiciele Sochnutu. Bez zbytecznych rozmów czy pytań, wsiedliśmy do czekającego nas autobusu. Powiedziano nam tylko, że nim zawiozą nas do hotelu, gdzie będziemy czekać na dalszy ciąg podróży, zrobimy małą przejażdżkę po mieście. Nasza grupa liczyła około 30 osób w różnym wieku i w różnym stanie rodzinnym. Przejażdżka po ulicach Wiednia była rewelacyjna dla kogoś, kto najwyżej pojechał na wczasy do Cieplic, czy Kolumny-Las koło Łodzi: feeria świateł, przeładowane wystawy sklepów, tłumy ludzi przewijających się swobodnie po ulicach, to przekraczało nasze pojęcie o zachodniej cywilizacji.

Następnego dnia znowu pociąg. Tym razem wiedzieliśmy, że jedziemy do Rzymu. Dostałam z dziećmi osobny przedział i dobrze, że tak. W czasie podróży każdy był zaabsorbowany swoimi sprawami i trzymał się z daleka od innych. Poza jedną parą, która jechała z dwunastoletnią córką i miała dosyć pieniędzy, żeby robić zakupy w Wiedniu, a w Neapolu zrobić wycieczkę do Pompei, ja byłam jedyna z trojgiem małych dzieci, samotna, a przez całą drogę nikt nie zapytał mnie nawet, jak sobie radzę.

Pracownicy Sochnutu pomagali mi wsadzić dzieci i bagaż do pociągu, i zachodzili od czasu do czasu do czasu do przedziału, sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Ale kontakt słowny z nimi był dosyć ograniczony. Oni znali zaledwie kilka słów po polsku, w języku żydowskim, który znali wszyscy, nie byłam zbyt rozmowna, a moją szkolną angielszczyzną nie chwaliłam się. Ale wszędzie widać było doskonałą organizację, wszystko szło „Jak w szwajcarskim zegarku". Ale cóż, wszyscy wyjechaliśmy z Polski, lata demokracji ludowej nauczyły nas milczenia, a młoda kobieta emigrująca z trojgiem małych dzieci, musiała budzić dociekania i pytania. Czasami z uśmiechem myślałam, że w tych ciężkich czasach w tramwajach, miałam lepszy kontakt i zaufanie ludzi.

Pociąg znów był docelowy i tylko po pięknym krajobrazie, domyślałam się, że jedziemy przez Alpy szwajcarskie, a olbrzymie połacie wodne uzmysłowiły mi, że to chyba Wenecja.

Wieczorem dotarliśmy do Rzymu. Znów na peronie gromadzą nas pracownicy Sochnutu. Przy naszym przedziale pomaga mi zejść z wagonu niezbyt młody pan, mówiący dobrze po polsku. Rozmawiając ze mną, prowadzi mnie na miejsce zbiórki, a nawet o dziwo, bierze za rękę jedno z bliźniaków, dosłownie przytroczonych do walizki, żeby się nie zagubiły. Ale wtedy upuszcza teczkę z papierami, które rozsypują się po peronie. Irenka wyrywa mi się z ręki podbiega do teczki z papierami, podnosi i mówi: „ja panu poniosę" i tak dochodzimy do peronu, z którego odchodzi pociąg do Neapolu. Chyba ten mały jej gest, spowodował, że na okręcie „Fillippo Grimami", który miał nas zawieźć do Hajfy dostaliśmy osobną kajutę na trzy osoby, podczas, gdy inni zostali rozlokowani w kilkuosobowych kajutach pod pokładem.

Do naszej klasy należał również steward, który – jak wszyscy Włosi rozkochany w „bambini" – zajmował się nami serdecznie. Jego pomoc była bardzo przydatna, zwłaszcza, kiedy wszyscy chorowaliśmy na chorobę morską w czasie burzy, która nastąpiła drugiego dnia po wypłynięciu z Neapolu. Ale po burzy zawsze następuje słońce i nazajutrz mogliśmy już cieszyć się lazurem nieba i morza. Wychodziłam z dziećmi na pokład i tam widziałam normalnych pasażerów, którzy pływają po morzu dla przyjemności, uciekają od angielskiej czy skandynawskiej zimy na Cypr lub do Grecji.

Wieczorem 15 stycznia zawinęliśmy do któregoś z portów Cypru i tam urzędnik Sochnutu kazał nam przygotować bagaże, ponieważ wczesnym rankiem dotrzemy do Hajfy. Przez cały czas prawie dwutygodniowej podróży, czułam się jak manekin, poruszany czyjąś ręką i przesuwany z miejsca na miejsce. Dopiero teraz poczułam wzruszenie. Irenka pomogła mi przy zbieraniu i pakowaniu rzeczy i po wczesnym śniadaniu byliśmy już z bagażem na pokładzie.

Był piękny, słoneczny ranek, ale dookoła rozciągało się tylko morze, horyzont był jeszcze we mgle. Dopiero po jakimś czasie zaczęły wyłaniać się wysoko w górze domki o czerwonych dachach, tonące w zieleni. Wszystkich ogarnęło wzruszenie. Ziemia Obiecana? Nie wiadomo. Na razie to przepiękny widok Karmelu w Hajfie, widziany z

morza. Zwykłe zabiegi z głosem syreny, podpłynięcie pilota i powoli wpływamy do portu. Widać już maleńkie postacie oczekujących ludzi.

Wreszcie stajemy. Rozglądam się po oczekujących, ale nie widzę nigdzie mojej rodziny. Zauważyłam tylko kogoś, kto był podobny do kogoś, ale w tej chwili nie pamiętałam, do kogo. Minęło jeszcze kilka minut i nagle słyszę histeryczny krzyk Hanki, wołającej mnie po imieniu. Spojrzałam w tym kierunku i ujrzałam moją bratową w grupce ludzi. Teraz i ja ich poznałam. Ten pan, który mi kogoś przypominał to był mój brat, którego nie widziałam od 12 lat. I oni mnie z początku nie poznali. Ich przyjaciel, oficer policji, który z nimi przyjechał „na wszelki wypadek", a który mnie nigdy nie widział, zwrócił mojej bratowej uwagę na kobietę z małymi dziećmi, ale ona rzuciwszy na mnie spojrzenie, burknęła niecierpliwie: „nie zawracaj głowy, moja szwagierka to piękna młoda dziewczyna". Rozpoznała mnie dopiero po kilku chwilach.

Nim zeszliśmy na ląd, mieliśmy jeszcze wizytę ówczesnego Prezydenta, Icchaka Ben-Zvi, który pozdrowił kapitana i ekipę Sochnutu, a Pani Prezydentowa, Rachel Janai, powitała każdego z nas uściskiem ręki. Pierwszy przywitał nas właśnie przyjaciel mojego brata, który – dzięki temu, że był w mundurze – wszedł na pokład i pomógł nam zejść ze statku. Nie będę opisywała naszego powitania. Dodam tylko, jako znak charakterystyczny dla owych czasów w Izraelu, że tragarz, który ulokował nasze bagaże w samochodzie, nie chciał przyjąć zapłaty od mojego brata, natomiast poprosił o 2 jabłka (kupiłam kilka kilo w Neapolu). „Dla dzieci", jak powiedział. Tak rozpoczęła się moja podróż w oczekiwane Nieznane.

Nigdy nie żałowałam, że wyjechałam z Polski, a właściwie uciekłam „grabarzowi spod łopaty", ale przez całe życie jestem i do końca będę związana z tym krajem, gdzie było „moje dzieciństwo sielskie anielskie, moja młodość górna i chmurna" i gdzie poczułam przedsmak „wieku klęski".

AKCJA 1942

Jeszcze jest ciemno i cicho wokoło,
Noc ledwie zaczęła rozrzedzać swe mroki.
W tym słychać stąpania i mocne kroki.
Lud przerażony ze snu się budzi.
Lęk go ogarnia niepokój i trwoga:
On już rozumie, że coś mu grozi,
Zaczyna prosić o pomoc Boga.

Oczy wylękłe i twarze truchleją
A serce bije jak w przededniu złego.
Co to być może? Co tam się dzieje?
Czy się nie stało, aby coś strasznego?

O, nieomylne są ich przeczucia,
Rzecz straszna dzieje się rzeczywiście.
Tymczasem kroki wśród nocnej ciszy
Stają się bliskie, są coraz bliższe.

I już się zjawia Policja Żydowska:
„Ludzie, wstawajcie, macie krótki czas".
Trzeba opuścić swoje domostwa
I z rodzinami trzeba pójść na plac.
Więc każdy bierze w rękę tłumok mały,
Swój dom, dobytek, zegna z twarzą smutną.
W bliskich osobach jest teraz świat cały,
Czy ich nie rozdzieli los zły i okrutny?

Na placu wrzawa. W ciżbie przeogromnej
Dość często głośny wystrzał się rozlega.
A z masy zbitej, jakby nieprzytomnej
To płacz dziecięcy, to znów jęk dobiega.
Mąż obok żony, siostra ze swym bratem.
On myśli w duchu, jak ma postępować,
Czy pójść z nią razem, zginąć, jak bohater,
Czy też swe własne życie ma ratować?

A tu w pobliżu w swojej licznej świcie
Stoją ci kaci, zagładę nam niosą.
Od nich zależy śmierć albo życie,
Oni panami są naszego losu.
Bez kropli serca, z sumienia wyrwani,
Bez krzty uczucia na twarzy złowrogiej
Już jeden został na śmierć skazany,
Drugi odcięty od osoby drogiej.

Matka niemowlę przyciska do piersi.
Nie odda skarbu-swoje słodkie brzemię.
W tym strzał się rozległ, po tym śmiech szyderczy
I dziecko martwe upadło na ziemię.
I znów dwa strzały w powietrzu zagrzmiały
I krzyk wydarty z piersi macierzyńskiej.
A na to chórem mu odpowiedziały
Krzyki rozpaczy biednych matek wszystkich.

Słońce wschodziło już było rano.
Ten plac wyglądał jak pobojowisko,
A morze ludzi na stację zagnano.
Została garstka młodych i to wszystko.
Tak szły dziesiątki tysięcy i setki
W każdym osiedlu, mieście i miasteczku.
Starzy i młodzi, dzieci i kobiety
Szli bez sprzeciwu, bez słowa protestu.

Mówiono: „akcja się tu odbywa"
Kultura takie miano jej nadała.
Lecz jakże nazwa ta była fałszywa:
Zwykłe morderstwo, rzeź się rozgrywała.

Po tym ich wieźli w zamkniętych wagonach
A usta były spieczone od żaru.
Niejeden skomlał i z pragnienia konał
Jak zabłąkany w pustynie Sahary.
I gdzie się wieś TREBLINKA nazywa,
Tam cel podróży, tam ich zatrzymano.
Tu się dopiero tragedia rozgrywa,
Bo ich w techniczny sposób uśmiercano.

Nie było wyjścia, choć żyć tak pragnęli.
Powietrze było gazem przesycone.
Byli Żydami, więc zginąć musieli, za winy niepopełnione.
I poszli wszyscy. Zostały jednostki.
Lecz jeśli przeżyć nam jest sądzone,
Za ten zniszczony Naród żydowski,
Krzywdy niech będą pomszczone.

Sala Sokołowska.

WILISCHTHAL 1945

Wlecze się dzień za dniem monotonny, długi spokojny.
A to już tak długo trwa. To jest już szósty rok wojny.
Ucieka tęskny nasz wzrok poprzez żelazne kraty
I dalej pędzimy swe życie, nie ludzie, lecz automaty.

Co dzień jak zwykle o piątej, głos „aufstein" się rozlega.

Po skromnym rannym posiłku, czas pójścia do pracy dobiega.
Zaludnia się małe podwórko, słychać stąpania i kroki
I szara, więzienna masa przecina ciemności mroki.

Tam w domach, śpią jeszcze ludzie za zamkniętymi oknami,
A my już musimy pracować: przecież jesteśmy więźniami.
O szóstej minut trzydzieści gwizd się fabryczny wyrywa.
My znamy dobrze ten sygnał, do pracy nas woła, wzywa.

Więc praca się rozpoczyna: wysiłek znojny i trud.
Świszczy melodię maszyna, a przesiaduje nas głód.
Bo głód niemiły i wieczny jest ciągle nam towarzyszem.
On szepcze: „ty zjadłabyś jeszcze...” ja czuję go w sobie i słyszę.

Kiedy przynoszą posiłek, to twarz nam się rozpromienia,
A myśl ustawicznie krąży wokół jednego: jedzenia.
Tak mija nam do wieczora. Noc dobra i znowu rano.
Tak dzień za dniem się wlecze, codziennie jest to samo.

I chociaż nieraz się czuje pustkę tej życia nicości,
To zaraz w myśli kiełkuje wizja szczęśliwszej przyszłości.
I ze zbolałej piersi wyrywa się ciche łkanie.
Na zaciśnięte wargi wyrasta jedno pytanie:

Czy długo to jeszcze potrwa? Czy wiecznie tak żyć będziemy?
Czy my już piękna wolności nigdy nie odczujemy?
Wszak nasze młode lata rujnują się, niszczą i gniją.
A tak chcemy być jeszcze wolni, żyć tak, jak inni żyją.

Bo my jesteśmy świadkami, my chcemy krzyknąć przed światem,
Żeśmy widzieli rzeź straszną, jak walczył brat z drugim bratem.
Jak słupy dymu ogniste, strzelały w niebo, do góry.
Tych to palono niewinnie, żywi cierpieli tortury.

W tym piekle przeżyliśmy lato, tu-prawie minęła już zima.
Choć walka jest ciężka i trudna, chęć życia prze naprzód i trzyma.
Tymczasem godziny się wloką, a myśl o wolności marzy...
I dzień jest tak monotonny i szarzy się, szarzy, szarzy...

Sala Sokołowska.

POCIĄG-WIDMO

Ciężko wyplątał się a szyn kłębowiska.
Hen, w świat wyruszył z tysiącem wagonów.
Niebo purpurą, purpurą swych iskier opryskał,
Pędził wśród lasów, wśród pól i zagonów.
Parę jak obłok w powietrzu rozsiewał
I nikt nie wiedział, nikt nie przeczuwał,
Że niesie śmierć.

Pędził, pożerał kilometry, mile,
Biegu przyspieszał wciąż z chwili na chwilę,
To znów powoli jak żółw się posuwał.
Pędził wśród osad, miasteczek i wsi,
I nikt nie wiedział, nikt nie przeczuwał,
Że jego czerwień jest czerwienią krwi.
Że śmierć obwieszcza spis napisów biały,
O śmierci dudnią koła rozszalałe,
Że śmierć się kryje w szyn srebrzystej matni,
Że „ŚMIERĆ" się zowie jego pęd ostatni.

Pędził i pędził. W krąg ludzie patrzyli,
Rękami machali, lecz nic nie wiedzieli.
Myśleli, że ogień im wiezie w bryle węgla czarnej,
Że wlecze setki, tysiące ton.
A on wiózł straszne, ludzkie kłębowisko
A w nim rozpętało się dzikie igrzysko.

Zamknięta w czterech, stalowych ścianach,
Wiła się, wiła, wiła ciżba rozedrgana.
Ciała spiętrzone w jedną masę zbitą
Charczały i wyły zwierzęcym skowytem.
Powietrze duszne, ohydne, aż w płuca się wdarło.
Koszmarną, ciężką łapą chwytało za gardło.

Dyszeli, konali w udręce bezbrzeżnej.
I dłonie spalone, jak ptaki drapieżne
Wyciągali po wodę. Po jeden łyk wody,
Błagali o powiew, o chwilę ochłody.
Charczeli i wyli jak te psy spragnione.
Aż do krwi pękały im wargi spieczone.

Dyszeli, dyszeli, konali.

Ktoś tak strasznie płakał, ktoś cicho się żalił,
Ktoś z głuchym łoskotem na ziemię się zwalił
A inny bez przerwy jak gdyby w malignie,
Powtarzał to samo, wciąż to samo imię.
Ktoś słowa modlitwy żarliwie powtarzał,
Ktoś swój los przeklinał, Niemcom się wygrażał.
Płakali, płakali, płakali.

I wciąż silniej, aż brakło im tchu,
Cisnęli, pchali, „Gdzie jesteś? Chodź tu."
„Ja mdleję", „ja padam", „ach błagam, przepuście"
„Odejdźcie na chwilę", „nie duście, nie duście"
„Mamusiu, mateńko, dlaczego, dlaczego tak ciemno?"
„Boże miłosierny, zlituj się nade mną!"

Czołgali się z wolna, patrzyli z za krat,
A obok mknął, pędził utracony świat.
Żegnali się z życiem, z bliskimi, z rodziną.
Przed ową straszną, ostatnią godziną.

Już śmierć niedaleko już w biegu ustaje,
Ten pociąg skąd łkanie do nieba dostaje.
I w klątwę urasta i Bogu w twarz ciska
Zagładę milionów, ich śmierć, co tak bliska.
Ściśnięte się wznoszą ich pięści jak pręty
I krzyczą: „Przeklęty! Przeklęty! Przeklęty!"

Sala Sokołowska.

CENTRALNE ARCHIWUM HISTORII NARODU ŻYDOWSKIEGO, JEROZOLIMA, GIYATRAM.

CZĘSTOCHOWA, 1911.

Zwierzchnik policji rozpoczął śledztwo w sprawie osób należących do organizacji „Bund". Policja dokonała aresztowań.

Podstawa do rozpoczęcia śledztwa: korespondencja i doniesienia o odbywających się spotkaniach i zamiarach założenia na nowo organizacji, która się rozpadła. Zostali aresztowani: Gnarik Tenenbaum, Icek Dawid Izraelowicz, Moszek Jarecki, Moszek Szczupak, Rywka Rubel. Icek Dawid Izraelowicz ur. w roku 1890 w Częstochowie,

stolarz. Rywka Rubel ur. w roku 1886 w mieście Piotrków, miejsce zamieszkania miasto Częstochowa, krawcowa. Aresztowana w roku 1906 pod zarzutem przynależności do organizacji „Bund". Przebywała w więzieniu przez okres 3 miesięcy. Gnarik Tenenbaum ur. w roku l895 w mieście Częstochowa. Zawód: kancelista w fabryce Wajnberg i Sp. w mieście Częstochowa. Ukończył czteroletnie prywatne gimnazjum „Boganski" w Częstochowie, w roku 1910.

Moszek Szczupak ur. w roku l892 w mieście Wieluń powiat Kaliszewski. Stałe miejsce zamieszkania w Częstochowie. Zajmuje się handlem w magazynie hurtowym swego ojca w Częstochowie. Ukończył szkołę podstawową. Moszek Jarecki ur. w roku 1889 w mieście Częstochowa. Pracuje w sklepie spożywczym swojego ojca. Ukończył dwie klasy.

CZĘSTOCHOWA, 1906-1907.

Miasto Częstochowa, komisarz policji. Raport o ujawnieniu Rywki Rubel, jako czynnika szkodliwego politycznie.

W mieście Częstochowie, 12.1.1906 została zatrzymana Rywka Moszkowna Rubel, mieszkanka Piotrkowa. W czasie rewizji dokonanej w jej mieszkaniu, znaleziono pewną ilość odbitek w języku żydowskim o treści antyrządowej wydanej przez rewolucjonistów. Zgodnie z oświadczeniem Szaji Berlinera, który był świadkiem w tej sprawie, w/w została ujawniona jako czynnik polityczny podburzający, będąc aktywistką w ruchu destrukcyjnym.

Rywka Rubel została osadzona w więzieniu na okres 3 miesięcy. Po odbyciu kary, należy usunąć ją z okręgu fabrycznego Częstochowy do krewnych, zamieszkałych w Piotrkowie.

Rywka Moszkowna Rubel, lat 19,urodzona w Piotrkowie. Stały adres zamieszkania: Częstochowa, Stara Rynek. Zawód: krawcowa, panna, ojciec tokarz w Piotrkowie. Nie umie czytać i pisać (po rosyjsku – uwaga moja). W czasie rewizji zostały znalezione broszury i nielegalne czasopisma:

1) Broszury w języku żydowskim,
2) Egzemplarz nr 40 gazety „Głos Robotników",
3) 2 odbitki gazety „Bund",
4) Egzemplarz nr 16 gazety „Robotnik Warszawy",
5) Oświadczenie Komitetu Centralnego Bundu,
6) Wiersze pisane odręcznie w języku żargonu,
7) Egzemplarz nr 2 gazety „Żydowski Socjal- Demokrata",
8) Egzemplarz nr 8 gazety „Der Weker" w jęz. żydowskim (uwaga moja: „budzik, budziciel").

DECYZJA WŁADZ POLICJI

Zaaresztowani postanowili powołać do życia miejską organizację „Bund" w Częstochowie w celu zmobilizowania przy pomocy agitacji możliwie największej ilości członków do tej organizacji spośród robotników żydowskich, aby następnie wystąpić z żądaniem poprawy warunków pracy i płacy robotników żydowskich i organizować strajki robotników żydowskich w stolarniach. Śledzenie z zewnątrz w/w nie przyniosło żadnych rezultatów. 21 lipca 1911 roku dokonano rewizji u w/w, której rezultaty były następujące: U Icka Dawida Izraelowicza znaleziono odezwę, zwracającą się do Żydów Częstochowy, a nawiązującą do wyborów do „Dumy Państwowej". W ramach tej odezwy, Żydzi częstochowscy są agitowani do wstępowania do Partii Socjaldemokratycznej jako partii działającej w ramach „Dumy" na rzecz równouprawnienia wszystkich narodowości w Rosji, w tym także Żydów.

U braci Jareckich, Moszka i Nuhima znaleziono kilka książek o treści tendencyjnej i egzemplarz broszury zatytułowany „Żydowski proletariat" w jęz. rosyjskim, wydany nakładem komitetu SSRP, oraz list z zagranicy, od człowieka nazwiskiem Jakub Pławner, z którego wynika, że chodzi o agitatora, który był również delegatem na konferencji w Bozan (Bazylea?)

W czasie rewizji u Rywki Rubel, znaleziono list otwarty ze zdjęciem młodzieńca żydowskiego imieniem Daniel Załuski, który, w/g istniejących wiadomości, należy do organizacji Bund w Częstochowie. Jak również zdjęcie Herszla Frajmana, członka Zarządu organizacji „Bund" w Częstochowie.

Przeprowadzone dochodzenia wyjaśniły, że Nuhim Jarecki został zatrzymany przez policję w Częstochowie i Noworadomsku za przynależność do partii Syjonistyczno-Socjalistycznej i jest przedstawicielem partii w Częstochowie.

Rywka Rubel należała do Partii „Bund". W roku 1907 przebywała przez okres 3 miesięcy w więzieniu. W/g poufnych wiadomości wszyscy w/w ludzie utworzyli razem organizację walczącą, pod dowództwem Rywki Rubel, która była jej instruktorką. Ćwiczyli strzelanie z broni palnej w lesie poza wsią Mstów w okręgu Częstochowa. Do tej organizacji walczącej należeli również Daniel Załuski i Herszel Frajman oraz człowiek o imieniu Mendel z zawodu malarz.(Mendel Braun – przyp. mój). Moszek Szczupak nie był członkiem tej organizacji. Naczelnik policji dokonuje wysiedlenia tych ludzi jako czynnika szkodliwego, poza Obwód Przywiślanski, w ramach postępowania administracyjnego. W chwili obecnej Herszel Frajman służy w wojsku w mieście Wiaźma.

(-) Kierownik Wydziału Specjalnego Policji
Gubernator Warszawy
22.10.1911

TAJNE

Do : Gubernatora Piotrkowa:

Decyzja:

1) Zabronić: Ickowi Dawidowi Izraelowicz, Rywce Rubel, Nuchimowi Jarecki i Moszkowi Jarecki zamieszkiwać w mieście Warszawa i w następujących okręgach: Warszawa, Piotrków, Lublin i Siedlec, przez cały okres wzmożonego stanu bezpieczeństwa w tych okręgach.
2) Moszek Szczupak zostanie poddany jawnemu śledzeniu przez policję w jego miejscu zamieszkania, na podstawie postanowienia z dnia 30.04.1907.